

Łódź Odgłosy

Nr 8 (1693)
Rok I (XXXIV)
14 lipca 1991 r.
Cena 3000 zł

Mława jest pełna fałszywych szeryfów

Prywatne miasto

Ludzie są tu grzeczni, niemal przyjacielscy. Jeśli nie masz śniadej cery i spytasz któregoś z mieszkańców Mławy o drogę, nie tylko wytłumaczy, jak trzeba kluczyć uliczkami, ale nawet poprowadzi kawałek, żebyś mniej błądził. Taksówkarz, który wiozł mnie z dworca, położonego na obrzeżach osady, powiedział bez namysłu:

— To takie miasto, no, bardziej prywatne. Miał na myśli proporcje między budownictwem kolektywnym (trzy osiedla) a indywidualnym, ale w kontekście wydarzeń, które mnie tu przywiodły a Mławę wprowadziły na czołówki gazet, jego słowa nabrały także innego, podskórnego znaczenia.

Cyganie zatrzymali się tu na Wielki Postój w latach sześćdziesiątych, kiedy władcy PRL, bez żadnych aktów ustawodawczych, za to sięgając do siły przymusu państwowego, zakazali tej grupie etnicznej wędrowek taborami. W Mławie osiedlono ich w slumsach nad rzeczką Seracz, przypominającą bardziej kloaczny ściek, niż potok. Przybyłe mieli polskie nazwiska, byli to albo Paćkowscy albo Malinowscy, co wskazuje na ich przynależność do szczepu Polska Roma.

W ciągu ćwierćwiecza, jakie minęło od tamtej pory, rodziny Romów mławskich przeniosły się do okazalszych siedzib. Domy Paćkowskich albo Malinowskich stanęły obok polskich willi. Tylko niektóre wyróżniają się bardziej okazałą architekturą, inne wtopiły się w standardowe budownictwo indywidualne charakterystyczne dla lat siedemdziesiątych.

W środę i czwartek, 26 i 27 czerwca, przez Mławę przetoczyły się dwie fale zbiorowej nienawiści. Bezpośrednim powodem zająć, których ofiarą padła cała społeczność Romów, był wypadek drogowy, spowodowany przez cygańskiego wyrostka. Zdarzenie miało miejsce 23 czerwca w niedzielę wieczorem na ulicy, przez którą prowadzi trakt do pobliskiego Działdowa. Jedni twierdzą, że szybki, zachodni wóz wjechał na chodnik, inni że potracił przychodniów na jezdni



Dom cygańskiego wójta w Mławie

pomiędzy pasami. „Zachodni” samochód okazał się w rzeczywistości ładą, do tego na radzieckiej rejestracji. Prowadził go Roman M., lat 17, który zbiegł z miejsca wypadku, należał do Cygana. Ofiarą jego brawurowej jazdy padł zawodowy żołnierz, lat 21, zamieszkały w pobliskich blokach spółdzielni „Zawkrze” i jego znajoma, równieśnica sprawcy kolizji.

We wtorek społeczność cygańska nakłoniła Romana M. do oddania się w ręce policji. Ofiary wypadku przebywały w miejscowym szpitalu, gdzie trwała uporczywa walka lekarzy o ich życie. Dziś można powiedzieć, że siedemnastoletnia Kasia najprawdopodobniej wróci do domu, choć nie wiadomo, czy nie zostanie kaleką. Stan Jarosława jest wciąż krytyczny i medycy nie dają mu żadnych szans, chyba że zdarzy się jakiś cud. Wiadomości ze szpitala codziennie rozechodzą się po mieście, chociaż miejscowa służba zdrowia nie wydaje żadnych oficjalnych biuletynów.

Wedrując po Mławie oglądając skutki środowego i czwartkowego pogromu. Wprawdzie miejscowi oburzają się, gdy używać

tego słowa, gdyż podczas ataku na cygańskie domy nie było żadnych ofiar śmiertelnych, ale każde inne określenie byłoby niepotrzebną pseudonimacją. Na ulicy Różanej, gdzie rozwydrzony tłum rozpoczął swoje niszczyielskie dzieło, willa wójta Władysława Paćkowskiego straszły powybijanymi szybami i potrzaskanymi elementami cementowej balustrady tarasu. Tarcza domofonu przy furcie rozbita jest uderzeniem łomu, drzwi garażu wylamane i ciśnięte na podjazd, wszędzie wala się szkło, skrupy rozbitych naczyń, szczątki mebli. Ogrodzenie ocalało, nie można więc wejść do wnętrza domu. Przez siatkę okalającą willę widać rozciągnięty na podwórku sznurek, gdzie suszą się dziecięce spiozki, ale nigdzie nie ma żywego ducha.

Paredziesiąt metrów dalej, na ulicy Makowej dom nie wyróżniający się niczym od polskiego otoczenia, niemal bliźniaczy. I znów ten sam obrazek: wytłuczone szyby, połamane sprzęty, przed garażem strzaskany telewizor. Mieszkała tu Cyganka porzu-

Cdn. na str. 6

W numerze m.in.:

◆ **Maria, czyli kwadratura seksu**
— nowa powieść!!!
strona 16

◆ **Leszek Miller kontra Stefan Niesiołowski**
fragmenty radiowej dyskusji
strona 4

◆ **„Bistona” tańsza od sklepu**
strona 5

◆ **Gorączka w termometrach**
strona 5

◆ **Jak Bogusław Kaczyński chciał być dyrektorem**
strona 8

◆ **Abecadło dla Karola Badziaka**
strona 14

Firma  **MARWEN**
OFERUJE
szeroką gamę
MARMURÓW
polskich i greckich
o pięknej, niespotykanej fakturze:
na ściany • posadzki • kominki
• parapety • elewacje —
z błyskawicznym terminem realizacji — w
cenie od 70 000 do 450 000 zł za 1 m²
95-020 Andrespol k. Łódź
ul. Rokicińska 148 B
tel. Łódź 13-22-79

Rekord wygranej: 150 mln zł

Prawdziwy hazard

Ze średnią pensją krajową w kasynie można przy przeciętnym szczęściu pograć powiedzmy 15-20 minut. Jeśli będzie się grało dość przytomnie, można w tym czasie zdążyć wypić również puszkę Coli za niecałe dwadzieścia tysięcy. Jeśli zaś damy się wciągnąć w ten prawdziwy hazard — tracimy pieniądze w mgnieniu oka. Ale za to w jakim otoczeniu.

Niezbyt zamożni łodzianie doczekali się otwarcia kasyna 11 czerwca. Prowadzi je spółka z o.o. kapitału austriackiego, Przedsiębiorstwa Turystycznego „Łódź” oraz Zjednoczonych Przedsiębiorstw Rozrywkowych. Przez ten niezbyt długi czas odnotowano już zupełnie niezły rekord wygranej: jeden z biznesmenów w ciągu kilku godzin wygrał w ruletkę około 150 milionów złotych. Płec piękna ma niewiele mniejsze zacięcie — właścicielka jednego ze sklepów wygrała w „oko” (w kasynach elegancko określane Black Jackiem) ponad 100 milionów w ciągu pół godziny!

Te dwa przypadki, to nie wyjątki. Żeby wygrać — wystarczy grać. Żeby grać — wystarczy mieć prawdziwe pieniądze. Gdy ktoś przycho-

dzi do kasyna Hotelu Centrum z niewielką gotówką, powiedzmy 5-10 milionów, obstawia bojaźliwie, waży w dłoni każdy półmilionowy banknot, gdy mu się nie powiedzie w ciągu kilku kolejek — zaczyna się denerwować, pocić, gra nerwowo, przegrywa. Obsługa jest tu wyrozumiała, bardzo liczna i bardzo młoda. Za każdym stołem stoi dwóch dealerów: prowadzący i pomagający. I jeden i drugi pilnie liczą, kontrolują, grę jednak prowadzi tylko jeden. Szybko się nuży. Powiedzmy po 20-30 minutach. Wtedy dostaje 10 minut czasu wolnego i potem wraca już do innego stołu.

Niektórzy grający są przesądni: uważają, że jeśli wygranymi podzieli się z dealerem — będą wygrywać dalej. Rzucają żeton w jego kierunku, ten głośno dziękuje i wrzuca do szczeliny w stole. Jedna młoda dama, prowadząca grę, zawsze w takim przypadku nie dziękuje, tylko informuje: „to dla dziewcząt i chłopców...”. Dealerzy mają po 20-27 lat, ale przy grze są bardzo poważni: ich pensje są niewiele wyższe od przeciętnych, a każdej nocy przepuszczają

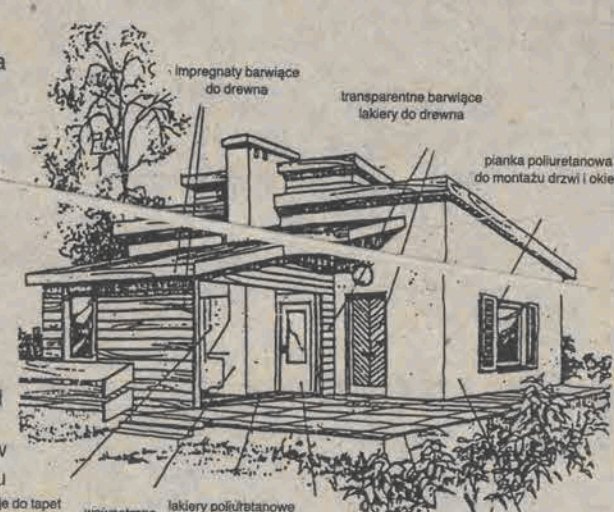
Cdn. na str. 4

Sadolin
Preparaty do zabezpieczania i barwienia drewna firmy „SADOLIN” — Dania

Nietoksyczne lakiery do parkietów i boazerii półmatowe i z połyskiem Farby kryjące ogólnego stosowania matowe i z połyskiem firmy „PAUL MITTERMAYER” — RFN

Oraz wiele innych preparatów niezbędnych w każdym domu

INTER BAZAR



Impregnaty barwiące do drewna
transparentna barwiące lakiery do drewna
pianka poliuretanowa do montażu drzwi i okien
kleje do tapet
wewnętrzne farby emulsyjne
lakiery poliuretanowe do parkietów połysk i półmat
kleje do terakoty i glazury
zewnętrzne farby dyspersyjne
lakiery ogólnego stosowania w aerozolu

mipa
Lacke & Farben

Sklep firmowy — Łódź, ul. Łągiewnicka 45a tel. 57-82-39



W niedzielę, przed plebanią kościoła św. Brygidy w Gdańsku, prezydent RP Lech Wałęsa ponownie spotkał się z mieszkańcami Trójmiasta. Najpierw zapytał, czy wśród zebranych są ci, z którymi spotykał się dwa tygodnie temu. - Proszę rączki do góry! - padł tradycyjny rozkaz. Okazało się, że jest ich dużo. Prezydent RP zapowiedział, że będzie się nadal spotykać z gdańszczanami, choć go za to krytykują. Wzywał zebranych, żeby zajęli się porządkowaniem spraw na ich terenach. Ze strony zebranych padło kilka kłopotliwych pytań. Był transparent z napisem: „Kiedy mieszkania?”. Jeden z obecnych usiłował dowiedzieć się, co prezydent Lech Wałęsa sądzi o kompaktach, jaki otrzymał od „Foniki”, jak go ocenia? - Oceniam, że się nie sprzedaje - usłyszał w odpowiedzi.

„Dekrety na wszystko” - tak zatytułowała „Gazeta Wyborcza” tekst projektu ustawy o dekretach, jaki udało się jej zdobyć. Zakres spraw, o jakich może na mocy ustawy stanowić rząd zamyka się liczbą 17. To, czego nie może rzec ujęte w 4 punktach. Nie może zmieniać konstytucji, uchwałać ordynacji wyborczej, nakładać na obywateli nowych podatków i innych obciążeń majątkowych, uchwałać budżetu na 1992 rok. Może także uchylać lub zmieniać obowiązujące dotychczas przepisy. Komentatorzy zastanawiają się, dlaczego teraz rozważa się taki projekt ustawy, skoro wybory wyznaczono na 27 października 1991 roku?

W Sejmie RP odbyła się gorąca debata nad stanem TVP. Sejmowa Komisja Kultury ma niebawem rozpatrywać wniosek o wotum nieufności dla prezesa Mariana Terleckiego. Jego decyzją - na mocy upoważnienia rządu - jednostkę organizacyjną Polskie Radio i Polską Telewizję postawiono w stan likwidacji. Przygotowano grupowe zwolnienie dla 22 dziennikarzy „Wiadomości”. Telewizja pod rządami Mariana Terleckiego i Marka Markiewicza spotkała się z ostrą krytyką posłów. Przede wszystkim za brak obiektywizmu w informowaniu widzów. Mówiono nawet, że do telewizji tylnym wejściem wraca cenzura. Telewizji bronili i na temat Marka Markiewicza wygłosił panegiryk poseł z Łodzi Andrzej Kern. Posłanka i sekretarz stanu Kancelarii Prezydenta Teresa Liszcz wyraziła zdziwienie, że zarzuca się telewizji popieranie obozu betwederskiego, bo ona wysłała pismo protestujące przeciw złemu relacjonowaniu spotkań prezydenta. Na przykład relacja ze spotkania z kobietami pokazywała tylko atak przedstawicielki „Pro Femina” na prezydenta, za co żadna kara nie spotkała dziennikarki, która robiła tę relację. A przecież przy grupowych zwolnieniach można było i ją zwolnić. Wielu posłów zapowiedziało i zapoczątkowane zmiany w TVP wiązało z rozpoczęciem się kampanii wyborczej. Poseł Janusz Szymański zwrócił uwagę, że przed Sejmem RP wystąpili urzędnicy nie podlegający Sejmowi, bo powołani przez premiera. W debacie tej powinien wziąć udział premier lub upoważniony przez niego minister.

Senator Andrzej Wajda zapowiedział - w związku z toczącą się dyskusją o telewizji - że zamierza zrezygnować z działalności w Społecznym Komitecie do spraw Radia i Telewizji. O likwidacji Polskiego Radia i Polskiej Telewizji dowiedział się z gazet.

Komisja Likwidacyjna RSW „Prasa - Książka - Ruch” poinformowała, że „Trybuna” i „Chłopska Droga” zostaną przekazane na rzecz skarbu państwa, a „Życie Zyrardowa” oddane wojewodzie skierniewickiemu. Powodem tego jest fakt, że Spółka „Ad-Novum” nie wpłaciła odpowiednich pieniędzy za nabycie praw do tych tytułów. Wymaga się też, aby „Ad-Novum” zapłaciła czynsz za lokale wynajmowane przez redakcję. Termin uregulowania płatności mija z końcem lipca 1991 roku. Decyzję tę wiąże się z rozpoczęciem kampanii wyborczej. Ocenia się, że jest to próba likwidacji prasy opozycyjnej.

Proces przeciwko Jerzemu Urbanowi za rozpowszechnianie pornografii w tygodniku „NIE” został odroczone. Powodem była absencja biegłego doc. Jacka Hołówny. Red. Zygmunta Kałużyńskiego stawili na procesie mimo pogróżek. Dla bezpieczeństwa - jak zdradził to reporterom - ubrał podwójne kalessony.

B. M.

Odgłosy

Tygodnik „Odgłosy”
Redaktor naczelny Mirosław Kulis
Wydawca: „Odgłosy-Press” S.C.
90-113 Łódź ul. Śienkiewicza 3/5
☎ 36-52-44
Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń. Materiałów nie zamówionych redakcja nie zwraca.

Nakręcana pomarańcza

ry sowietologiczne Ossendowskiego, Sergiusz Piasecki i „rozmowy” z Jaroszewiczem. Także „podręczniki” masażu erotycznego i „poradniki” seksuologiczne, senniki i horoskopy. A z setek nowo powstałych wydawnictw pozostają te, które w miarę szybko zrozumiemy, że ten oto kanał właśnie się zapycha. Kończą się wyścigi sensacji, lakierów i rozebranych panienek na okładkach. Kończy się czas dla edytorskich niechlujów i domorosłych tłumaczy, którzy po przyspieszonym kursie języka angielskiego i owinu teraz, czym prędzej, zapisac się na regularne kursy języka polskiego.

Będzie normalnie. Co nie znaczy, że o wydaniu książki decydować będzie legitymacja ZLP i SPP, zasługi i wiek, cenzor i polityk. Ale rynek, wartość i czytelnik. Ze piszę utopię? No, może rzeczywiście za powyższe marzenia głosy bym nie dał, choć przecież dostrzegam symptomy owej normalności. Jeszcze rok, dwa, a te nowe „oficyny” wydawnicze zaczną zatrudniać profesjonalnych redaktorów (teraz ograniczają się do etatów dyrektora, księgowego i gońca), zaprzestaną licytować się tymi samymi „pomysłami” i zatrudniać w roli „tłumaczy” córki szwagra, która oto „skończyła” anglistykę, albo syna sąsiada, który wczoraj był wrócił z saksów w Greenpoint.

Pora objaśnić tytuł tego tekstu. „Nakręcana pomarańcza” to propozycja Roberta Stillera, aby tak nazwać powieść A. Burgessa, którą właśnie opublikował w swoim tłumaczeniu pod nie chcianym, a wymuszonym tytułem „Mechaniczna pomarańcza”. Publikację tej książki uznaję za jeden z przejawów normalno-

ści, o której pisałem wyżej. Zwraca uwagę już sam fakt, że na okładce obok nazwiska autora widnieje informacja o tłumaczu, a także i o tym, że wkrótce ukaże się inna wersja przekładu tego samego tłumacza. W czasach bylejakości i zgranych pomysłów debiutujące na rynku wydawnictwo „Wema” przystało na eksperymentatorski zamysł Stillera i wydaje tę samą książkę w dwóch wersjach! Jak to się ma - nie należy łowić ryb przed niewodem, ale mocno się zastanawiam nad efektami tego eksperymentu, oczywiście efektami artystycznymi, bo handlowe, choć też trudne do przewidzenia, niechaj spędzają sen z powiek edytorom z „Wemy”. W oryginalnym angielskim Burgess tworząc slang bandy Alexa, narratora tej niezwyklej powieści, posiłkował się językiem rosyjskim, który dla czytelnika angielskiego jest oczywiście czym innym niż dla Polaka. W potocznej polszczyźnie, która musi być układem odniesień dla tłumacza, leksyka rosyjska, jeśli się pojawia, ma charakter na polu parodystyczny i prześmiewczy. Tak też to odebrał czujny cenzor, który przed laty nie dopuścił do publikacji w „Odgłosach” fragmentów „Mechanicznej pomarańcza” (w przekładzie Macieja Świerkockiego). Burgessowi nie o prześmiewczość, zwłaszcza nacechowaną politycznie, chodziło. Jak ma więc postąpić tłumacz? Nad tym pytaniem będę się zastanawiał wtedy, gdy R. Stiller do wersji „R” (na bazie rosyjskiego) dołączy wersję „A” („Język” Alexa kreowany w oparciu o mowę Anglików).

Grzegorz Gazda

Jeśli zabronią mi wydawania „NIE”, ucieknę do Szwajcarii

Urban w Łodzi

Słoneczna, upalna pogoda nie zniechęcała tych, którzy na własne oczy chcieli zobaczyć Jerzego Urbana i osobiście zadać pytanie dawnemu rzecznikowi prasowemu rządu. 6 lipca po południu widownia Teatru Muzycznego była wypełniona prawie w całości. Sądząc po okłaskach oraz braku gwizdów i innych odgłosów dezaprobaty na sali zgromadzili się raczej sympatycy redaktora naczelnego „NIE”.

Jeszcze przed rozpoczęciem spotkania gościa oblegli łowcy autografów, a niektóre panie koniecznie chciały się sfotografować z Jerzym Urbanem. Dużym powodzeniem cieszyło się stoisko, w którym sprzedawano „Alfabet”, „Opowieści Jerzego Kibica”, nowy numer „NIE” oraz znaczki i koszulki z dowcipnymi napisami („Proletariusze wszystkich krajów niech wam Bóg zaplaci”, „NIE ze mną te numery”, „NIE należę do niczego”).

Gość wystąpił „na sportowo” - w pasiastej koszuli wypuszczonej na spodnie. Z dużą rezerwą odniósł się do operetkowej kanapki i na wszelki wypadek cały czas stał. Początkowo odpowiadał na pytania gospodarza spotkania - redaktora naczelnego „Odgłosów” Mirosława Kulisia; mówił o swoim dzieciństwie i wczesnej młodości spędzonej w Łodzi, opowiadał o dziadkach, rodzicach i swym pochodzeniu. Stanowczo zaprzeczył jakoby był obrzezany.

Kiedy zaczęły się pytania z sali, J. Urban cierpliwie wszystkich wysłuchiwał i na każde, nawet niezbyt składne, starał się odpowiedzieć. Ludzi interesowały głównie kwestie dotyczące polityki i jej mechanizmów, pytano o proces, jaki się toczy przeciwko redaktorowi naczelnemu „NIE”, proszono o komentarz do obecnej sytuacji, oceny różnych polityków i prognozy na przyszłość.

Gość z właściwą mu swobodą opowiadał o czasach, gdy był rzecznikiem rządu i o chwytach, jakie wtedy stosował. Zakomunikował, że pierwszy proces polityczny w nowej Polsce właściwie już wygrał, mówił o zagrożeniu jawności i degenerującej się świeżej demokracji. Uznał ostateczną klęskę socjalizmu, do którego nie ma już powrotu, ale bronił jego zdobycy socjalnych, wartych ocelenia. Zapowiedział, że jego tygodnik włączy się do kampanii wyborczej i będzie obryzwał wyborcom kandydatów z Porozumienia Centrum i wszystkich partii od

PC na prawo. Chwalić nie będę nikogo - poparcie „NIE” mogłoby chwalonemu nie wyjść na zdrowie.

Urban przyznał, że nauczył się cenić tych, których kiedyś zwalczał, z uznaniem wyrażał się o Kuroniu i Michniku, potępił natomiast tych swoich współtowarzyszy, którzy w nowej sytuacji padli na kolana, za przykład szczególnie obrzydliwy uznał osobę Fiszbaka. Skrytykował premierów: Mazowieckiego, że dał sobie odebrać władzę jak dziecko grzechotkę i Bieleckiego za polityczną głupotę i zwracanie się przeciw własnemu społeczeństwu. Mało pochlebne oceny wydał też kwalifikacjom prezydenta i jego kancelarii.

W kwestii przyszłości „NIE” zapewnił, że status pisma jest taki, że utrudnia zniszczenie go od strony administracyjnej i finansowej. Zdarzyć się jednak może wszystko - jeśli zabronią mi wydawania tygodnika, ucieknę starym szlakiem komuchów do Szwajcarii i tam będę wydawał pismo i kolportował w II obiegu.

Urban zapowiedział, że w jednym z najbliższych numerów „NIE” zajmie się naszym miastem. Sytuację Łodzi określił jako narastający dramat i przyznał, że nie ma w Polsce drugiej takiej metropolii w równie optakany stan.

Monika Matuszak

Książka Henryk Jankowski: „Stara” Europę należy umoralnić!

W „Tygodniku Powszechnym” nr 27 Jerzy Turowicz, zaś we „Wprost” (27) ks. Henryk Jankowski zastanawiają się nad współczesnymi zadaniami Kościoła, oceniając przy tej okazji stan moralności społecznej w Polsce. Diagnoza Jerzego Turowicza daleka jest od optymizmu:

„Z jednej strony ponury spadek po latach komunizmu w postaci rozbicia więzi społecznych i głębokich zniszczeń w dziedzinie moralności indywidualnej i zbiorowej. Z drugiej wchodzenie na drogę do demokracji, kształtowania się pluralistycznego społeczeństwa i przebudowa struktur gospodarki oznacza wzmocnienie procesów sekularyzacji i laicyzacji, możliwość spadku praktyki religijnej i powołania kapitałów kulturalnych. Wzrost mentalności konsumpcyjnej z prymatem „mieć” przed „być”, przed czym przestrzega Jan Paweł II. Polska społeczność katolicka, przy całym swoim przywiązaniu do wiary i do Kościoła, przy ciele jeszcze względnie wysokim poziomie praktyki religijnej, jest przecież w gruncie rzeczy dużo mniej katolicka, niż to by się mogło wydawać. Nie brak zjawisk świadczących o tym. W znakomitym artykule na temat dzisiejszej sytuacji Kościoła w Polsce, ogłoszonym w styczniowym numerze „Przeгляdu Powszechnego”, ks. Adam Przybecki przypomina słowa Prymasa Polski, kardynała Stefana Wyszyńskiego, który na kilka miesięcy przed swą śmiercią ubolewał nad słabością postaw moralnych polskich katolików i ich sporą ignorancją religijną. Mówił ks. Prymas, że Kościół, zmuszony niejako do obrony podstawowych praw obywatelskich, zaniedbywał pracę nad pogłębianiem świadomości religijnej swoich członków”.

W porównaniu z powyższą oceną, pogląd ks. Henryka Jankowskiego wydaje się bardziej niż optymistyczny:

„Nie sądzę, aby nasze społeczeństwo przeżywało czy miało przeżywać „konsumpcyjny szok” - z wszelkimi jego negatywnymi konsekwencjami. Uważam, że postawa konsumpcyjna nie jest u nas tak rozpowszechniona i groźna jak na zachodzie Europy. Mieliśmy na szczęście indywidualne rolnictwo, przetrwa-



ło w szeregach postaci tradycyjne rzemiosło. Dzięki tej bazie społecznej powstawa zdrowa świadomość posiadania, zrodził się szacunek dla własności, doszło do harmonijnego połączenia „mieć” i „być”.

Różnica w ocenie stanu moralności społecznej pojęcia za sobą wyraźne przesunięcie akcentów w kwestii „nowej ewangelizacji”, do której nawołuje Jan Paweł II. Jerzy Turowicz rozumie ją przede wszystkim jako skierowaną do samych Polaków:

„Toteż przed Kościołem polskim stoi ogromne zadanie nowej ewangelizacji. Ta nowa ewangelizacja, to nie tylko wewnętrzna sprawa Kościoła, jej skutki winny mieć znaczenie ogólnospołeczne, winny wspierać budowę nowoczesnej demokracji w naszej ojczyźnie. Bowiemy o Ewangelii, to wzmacnianie ludzkiej wspólnoty, to braterstwo i pojednanie między ludźmi, to solidarność z ludźmi marginalizowanymi i krzywdzonymi przez zmianę warunków ekonomicznych czy politycznych, to eliminowanie nietolerancji i fanatyzmu, szowinizmu i ksenofobii, to wreszcie kształtowanie postaw ekumenicznych, postaw szacunku i dialogu względem ludzi innych przekonań czy wyznań”.

Ks. Henryk Jankowski nie mówi o ewangelizacji w Polsce, kreśli natomiast wizję ewangelizacji Europy:

„Jeśli obliczone na lata działania misyjne Kościoła można nazwać ofensywą, to trzeba mówić o dwóch jej kierunkach: nie tylko na Zachód, ale i na Wschód. „Stara” Europę należy umoralnić, „nowej” - wschodniej, tej po Ural - trzeba pomóc sięgnąć do chrześcijańskich korzeni, przeciętych żelazną kurtyną. Skoja-

zenie z jakąś szarżą nie ma tu wszakże racji bytu - misja Kościoła musi być mądra, przemyślana, musi być wsparta wysiłkiem i zrozumieniem wielu osób świeckich, środowisk twórczych i naukowych”.

Wizji ks. Jankowskiego towarzyszy, naturalnie, optymizm co do szans jej urzeczywistnienia:

„(...) Zachód otrząsa się powoli ze skutków konsumpcyjnego wstrząsu. Przesyt wszystkim co materialne powoduje w coraz szerszej skali odwrót do życia kontemplacyjnego; prowadzi do poszukiwania różnych miejsc odosobnienia, kameralnych, intymnych form spędzania czasu. Myślę, że będziemy jeszcze świadkami odrodzenia się świata zachodniego, że otwarte zostaną szeroko kościoły”.

Jerzy Turowicz jest znacznie, ale to znacznie ostrożniejszy w proroczych wizjach:

„Nawrócenie, przemiana sumień, metanoia, to warunek odnowy, warunek doczesnej skuteczności misji Kościoła wchodzącego w swoje trzecie tysiąclecie”.

AG

Przepraszamy...

... za przykry błąd, jaki zdarzył się na pierwszej stronie w poprzednim numerze „Odgłosów”: nadtytuł „Piełgrzymka papieża skończyła się rozprawą z handlarzami” powinien brzmieć „Piełgrzymka papieża opóźniła rozprawę z handlarzami”.

„W tej Radzie traci się na intelekcie...”

Pani wiceprezydent Elżbieta Hibner na niedawnym posiedzeniu Rady Miejskiej powiedziała, że pan i inni radni nie mają moralnego prawa ubiegać się o członkostwo w Radzie Nadzorczej Spółki „Prasa Łódzka”. Nie rozumiem tego. A pan?

– Można by – żartując – powiedzieć, że moralność dla różnych ludzi co innego znaczy. Na przykład pani Elżbieta Hibner, jako była drużna Harcerskiej Służby Polsce Socjalistycznej, może ją rozumieć zupełnie inaczej niż ja. Dlatego trudno mi wypowiadać się za nią.

– A traktując rzecz poważnie?
– Pani Elżbieta Hibner stwierdziła, że radni z innych klubów niż Łódzkie Porozumienie Obywatelskie nie mają prawa być członkami

bardzo niebezpieczne dla Zarządu Miasta i polityków ŁPO. Jeśli jednak tworzy się atmosferę podejrzliwości, to samemu też się w to wpada.

– A jaką pozycję w Radzie Miejskiej zajmuje KPN, która zamierzała być „języczkiem u wagi”?

– Postawa KPN dziwi mnie i zaskakuje. Na przewodniczącego Rady Nadzorczej Spółki „Prasa Łódzka” przewidywano Andrzeja Ostoję-Owsianego z KPN. Kiedy w tajnym głosowaniu przyjęto uchwałę, że w Radzie Nadzorczej powinni być przedstawiciele różnych klubów radnych, według przyjętego klucza, pan Andrzej Ostoję-Owsiany nagle zrezygnował z kandydowania. Tłumaczył to tym, że skoro będzie senatorem, to nie może przewo-

chodzić do nieustannych starć politycznych, których na samorządowym forum nie powinno być.

– A jak by pan określił grupę radnych z WKO?

– Przede wszystkim nie ma tu jednorodnych nurtów politycznych: jest Unia Demokratyczna z dwiema frakcjami i grupa skłaniająca się ku liberalom. Ale my staramy się nie wypukać podziałów. Chcemy utrzymać jedność, aby móc się przeciwstawić rządzącemu ZChN. Jest nas – powiedzmy po odliczeniu wahaających się 20 – radnych. Stanowimy czwartą część Rady Miejskiej i nie jesteśmy w stanie sami przeforsować swego stanowiska. Prezydent Palka i przewodniczący Ostoję-Owsiany

Pare kublów zimnej wody

Rozmowa z JACKIEM CYBUSZEM – radnym Rady Miejskiej w Łodzi

Rady Nadzorczej Spółki „Prasa Łódzka”, która będzie wydawała „Dziennik Łódzki”, bowiem byli przeciwni przejściu przez gminę tej gazety. Takie zamiary były i były one bezprawne. Ówczesny likwidator RSW dr Jerzy Drygalski wielokrotnie wyjaśniał, że gmina może tylko kupić gazetę na przetargu.

– W końcu gmina ma „Dziennik Łódzki”, w czym więc rzecz?

– Ano w tym, że byliśmy też przeciwni temu, aby była to gazeta tylko jednej partii – Zjednoczenia Chrześcijańsko-Narodowego. Jesteśmy nadal temu przeciwni, gdyż dążenia takie nadal występują. Partia, która w Łodzi przejęła władzę, chce też niepodzielnie władać gazetą.

Jest jeszcze inny powód. Otóż pani Elżbieta Hibner powiedziała w kuluarach, że musiała swoją kwestię wygłosić, bo powstał sojuszek WKO i SdRP.

– Jest taki sojusz?

– Jeśli stanowisko WKO i SdRP jest takie samo w takiej czy innej sprawie, to rozumiem, że głosuje się jednakowo. Dzieje się to jawnie, na forum Rady Miejskiej. Innego sojuszu nie ma.

– Dziś takie posądzanie jest bardzo modne.

– I bardzo niebezpieczne. W mieście na przykład szeroko mówi się, że Zarząd Miasta i ŁPO dogadują się z byłą nomenklaturą, z czernymi, na których tak psoczą, tylko że robi się to niejawnie i że chodzi o duże pieniądze. Powodem tych plotek był pokazany w telewizji bal łódzkich kapitalistów. Podejrzenia są – podkreślam: podejrzenia – o sojusz nie polityczny ani ideologiczny, ale wynikający ze wspólnych interesów. I takie podejrzenia są

niczyć Radzie Nadzorczej. Jest to zadziwiające stanowisko. Skoro bowiem przed wyborami rezygnuje, to rozumiem, że wie, iż senatorem zostanie. – Natomiast poseł z ZChN pan Niesiołowski nie ma żadnych obiekcji, aby wejść do Rady Nadzorczej, choć jest posem.

Wybrano na razie dwóch członków Rady Nadzorczej, ale nie ma tam nikogo z KPN. Partia ta – tak to sobie wyobrażałem – miała szansę stać się pośrednikiem między grupą rządzącą a opozycją. Mogłoby to doprowadzić do tego, że w Radzie Miejskiej powstałby jakiś konsensus. Tak się nie stało. KPN stała się sojusznikiem ZChN i boję się, że na tym bardzo źle wyjdzie.

Tu muszę posłużyć się anegdota. Jeden z radnych z ramienia KPN uzyskał sobie taką oto opinię teściowej: *żeby szybciej nogami przebiegał, to by dalej zaszedł*. – Działalność KPN w Radzie Miejskiej ma właśnie taki charakter. To spowodowało, że KPN stała się zależna od ZChN i ten fakt nie rokuje KPN sukcesu w nadchodzących wyborach. Ale to ich zmartwienie.

– Jak by pan określił „geografię polityczną” Rady Miejskiej w Łodzi?

– Rządzą ZChN w sojuszu z KPN. Opozycję stanowi WKO, SdRP i Porozumienie Centrum. Prezydent Grzegorz Palka powiedział na wstępie, że skoro wygrali wybory, to biorą całą władzę i całą odpowiedzialność. Jest to nieporozumienie, bo władzę i odpowiedzialność posiada Rada Miejska, a nie jakaś tylko jej część. Ale ZChN jest partią o wielkich aspiracjach politycznych, którą kierują ludzie o ogromnych ambicjach. To powoduje, że Rada Miejska stała się niebywale upolityczniona, że do-

starają się nas traktować jako niezbędny element quorum. Rada Miejska pracuje na posiedzeniach plenarnych w składzie około 40 osób i gdyby zabrakło naszej grupy, to jej praca zostałaby sparaliżowana. Nie chcemy korzystać z tej broni, bo jest wiele do zrobienia dla miasta. Ale jeśli grupa rządząca nadal będzie lekceważyła nasz klub, to może doznać się bardzo dla siebie niebezpiecznej sytuacji.

My stoimy na stanowisku, że skoro wyborcy tak a nie inaczej zdecydowali, to trzeba się z tym faktem liczyć. W Radzie Miejskiej jest grupa 6 radnych SdRP. Za nimi stoją wyborcy, którzy oczekują, aby ich radnych traktować w taki sam sposób, jak innych radnych. Można się z ich podejściem do spraw merytorycznych zgadzać lub nie, ale trzeba fakt ich działania, popieranego przez wyborców, traktować w sposób demokratyczny, taki sam, w jaki traktuje się „słusznych” radnych. Poza tym demokracja nakazuje, aby szanować wolę mniejszości, aby większość nie zdominowała mniejszości i aby się liczyć z propozycjami i uwagami mniejszości, która jest w opozycji, bo to może być zaczątek pozytywnych inicjatyw.

I wreszcie, skoro w głosowaniu tajnym postanowiono, że w składzie Rady Nadzorczej Spółki „Prasa Łódzka” ma się znaleźć przedstawiciel SdRP, to nie widzę powodu, aby komuś zarzucać manipulowanie, sojusze, których nie ma i tym podobne nieprawdziwe historie.

– Czy tak pan sobie wyobrażał oczekiwaną samorządność?

– Nie. Przede wszystkim wyobrażałem sobie, że mimo zapiekłości i nienawiści, jaka uja-

Cd. str. 5

UWAGI SCEPTYKA



Od wielu już miesięcy trwa w Polsce wojna na górze. Najpierw chodziło o fotel prezydencki, teraz szykuje się batalia o fotele poselskie i senatorskie. Nicco niżej toczy się bez przerwy otwarta, ale także zakamuflowana walka o stanowiska i funkcje dające choćby cień, choćby namiastkę władzy. Potocznie mówi się, tak jak to czyni mój sąsiad interesujący się polityką, że rzecz idzie o dorwanie się „do złobu”, że stający do pełnego przepychanki i złośliwych fauli wyścigu do władzy chcą się „nachapać”, że ich głównym motywem postępowania jest dążenie do „urządzenia się” przede wszystkim w kategoriach materialnych.

Nie podzielam tego poglądu i uważam, że inne są powody dążenia do władzy czyli takiego stosunku społecznego między jednostkami lub grupami, który polega na tym, że jedna ze stron może w sposób trwały i uprawniony zmuszać drugą stronę do określonego postępowania oraz ma środki zapewnijające jej kontrolę tego postępowania. Przeciwnie do władzy od wieków dążyli ludzie, którzy nie musieli się „urządzać”, choć i takich nie brakowało. Ba, nawet ryzykowali w tym celu nie tylko utratą fortuny, dobrego imienia, ale i głowy, aby osiągnąć władzę. Historia i literatura pokazują, że przez wieki chwytało się zdrady i wszelkiego wiarołomstwa, skrytobójstwa i moralnego zniszczenia przeciwników, aby móc z wyżyn władzy spoglądać na powolny sobie tłum poddanych.

Psychoanalizy spierają się, czy głównym motorem postępowania człowieka jest pożądanie seksualne i chęć zaspokojenia wynikającego z niego napięcia fizycznego i psychicznego, czy też chęć władzy. Uczeń Zygmunta Freuda, austriacki psychiatra i psycholog Alfred Adler uważał, że to właśnie „dążenie do mocy”, chęć władzy i podporządkowania in-

nych jest formą kompensacji kompleksu niższości, jest siłą napędową ludzkiej psychiki i ludzkiego działania.

Jeśli tak jest, to na przykład brzydki i garbaty Ryszard III z szekspirowskiej tragedii, gdy zbrodnictwami metodami osiąga władzę, to być może tym właśnie kompensuje doskwierający mu kompleks kulawego garbusa. Anatolij Rybakow w „Dzieciach Arbatu” zbrodnictwami władzy Stalina próbuje wyjaśnić kompleksami niewydarzonego fizycznie dziecka zdominowanego przez surową i oschłą emocjonalnie matkę.

Daleki jestem od jednostronnego absolutyzowania psychoanalitycznej teorii władzy, ale

ważone nadejściem się władcy, niezależnie od zakresu sprawowanej przez niego władzy.

Warto przy tym pamiętać, że władza ma własności narkotyczne, że silnie uzależnia człowieka i powoduje wilczy wzrost apetytu. Ten, który rządził kilkoma ludźmi, chce rządzić kilkudziesięcioma, ten, który rządził miastem, chce rządzić krajem. Do władzy szybko się przywyka, a że władza zawsze przyciąga czeredy pochlebców i wazeliniarzy, którzy gotowi są do chwaleńca i laudacji, nawet nosa swego pana, więc nic dziwnego, że władza jest tak pożądanym dobrem. Beneficja związane z władzą są jej atrybutem, należnym dodatkiem, ale istota uroku wła-

Władza jako sposób na kompleksy

jeśli jest w tym choćby tylko cząstka prawdy, to nieodparcie może nasuwać się pytanie – a jakie to kompleksy mogą się kryć za rozmaitymi, dążącymi do władzy postaciami naszej nadwiślańskiej, współczesnej sceny politycznej? Być może nie bywają one u psychoanalityków i nie zdają sobie sprawy z istoty syndromu, który każe im w różny sposób eliminować konkurencję, „przyspieszać” i osiągać funkcje pozwalające poczuć swą nadrzędność i podporządkowanie innych.

Być może za wzniosłymi słowami, hasłami o dobru wspólnym, szczęściu ludzkości, zaprowadzaniu porządków i zwalczaniu zła kryją się kompleksy, na przykład małego grubasa, któremu nie idzie w sprawach męsko-damskich, albo urazy niedopieczzonego, odrzuconego przez rodziców dziecka, albo też przekonanie, że niedostatek osobistego prestiżu i uznania w oczach żony i dzieci da się osiągnąć poprzez zdobycie władzy. Namawiam Szanownych Czytelników, kiedy zobaczą na ekranie telewizora któregoś z ludzi polityki stojącego miny jak aktor w amatorskim teatrze, z emfazą perorującego i przekonanego, że mówi mądrze, bo wszyscy go słuchają, a nawet biją brawo, aby zechcieli choć przez chwilę zastanowić się, jakiego to rodzaju kompleksy mogą kryć się w zakamarkach psyche owego człowieka. Jakże to niedostatki ciała i umysłu mają być zrówno-

dzi tkwi w świadomości jej posiadania i potrzebie powiększenia, w świadomości, że oni muszą się podporządkować i słuchać właśnie mnie.

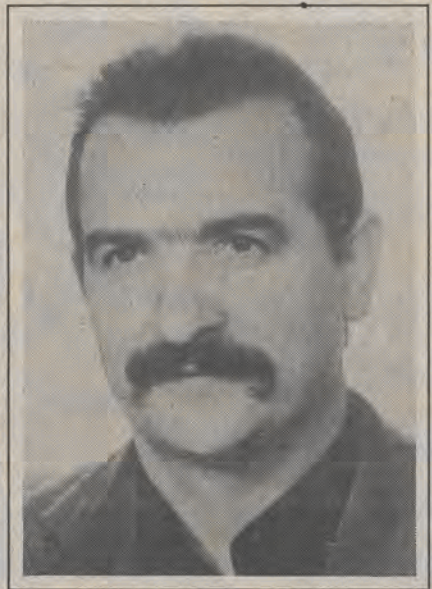
Dotychczasowe dzieje ludzkie i to co obserwujemy wokół siebie świadczą, że od zapadnięcia na chorobę władzy nie chroni ani mundur, ani sukienka duchowna, dyplomy uniwersyteckie ani świadectwa szkół niższej rangi, członkostwo związku zawodowego ani tej czy innej partii politycznej. Od podatności na tę niebezpieczną dolegliwość nie chroni żaden ustrój ani przynależność narodowa czy opcja światopoglądowa. Jednakowo dotyka ona komunistów i liberalów, zjednoczonych chrześcijan i laickich socjalistów, narodowców i kosmopolitów, cyklistów i masonów, tych z prawa, lewa i centrum. Matka Natura sprawiedliwie obdarza kompleksami wszystkich, stąd też i tak powszechny pęd do ich kompensowania poprzez władzę. Zainteresowanie seksem zwykle mija z wiekiem, władza trwa do późnej starości.

Całe zaś to gadulstwo o wzniosłych sprawach, które serwują nam nasi rządcy i kandydaci na rządców jest niewątpliwie bardzo potrzebne, tak jak hak w ścianie, na którym zawieszają się reprezentacyjny portret władcy. Najczęściej zresztą hak jest ten sam, tylko portrety się zmieniają.

Jan Wolborski

PREZENTACJE

Longin Chlebowski



Urodził się i wychowywał na Górnjej, niedaleko miejsca, gdzie trzydzieści lat później działał komitet strajkowy tramwajarzy, którego był członkiem.

Rodzice rozeszli się, kiedy miał dwa lata i wychowywał go ojczym. Nie był człowiekiem kryształowym, ale nauczył chłopca poczucia honoru i wrażliwości na krzywdę.

Ambicje rodziców nie sięgały zbyt wysoko: posłali go do przyzakładowej szkoły w „Wifamie”, ale przy odrobinie szczęścia można się było urządzić materialnie, gdyż fabryka wysyłała pracowników na zagraniczne kontrakty. Longin Chlebowski dostał się do atrakcyjnej klasy monterów maszyn włókienniczych. Tu przekonał się, że kwalifikacje nie wystarczą, potrzeba jeszcze protekcji. Po ukończeniu szkoły dostał mało atrakcyjną pracę w macierzystym zakładzie i bez żalu poszedł do woja. Był rok 1970. Za kłopotliwe pytanie zadane podczas szkolenia ideologicznego przez pół roku nie opuszczał koszar.

Po ukończeniu służby szybko się usamodzielniał i założył rodzinę, dostał nawet mieszkanie na Retkini, bo pracował w budownictwie. Przeżeni nie lubili go, uważali za rozrabiake, gdyż buntował się przeciwko rozkradaniu mienia.

W 1978 r. z protekcji sąsiada zatrudnił się jako ślusarz-spawacz w zakładzie torów i sieci MPK. Musiał cieszyć się zaufaniem kolegow, skoro dawali mu do czytania KOR-owskiego „Robotnika”. Ale w tym czasie bunt przeciw wypaczeniom ustrojowym nie wykraczał poza kontestację.

W sierpniu 1980 r. znalazł się w centrum strajku. Zorganizował grupę około 100 pracowników, stanowiącą straż porządkową. Podczas całodobowych, pełnych napięcia dyżurów, szybko uczył się polityki.

Po zwycięstwie strajku zakładów w MPK komisję wolnych związków zawodowych, a później został wybrany przewodniczącym „Solidarności”. Był to gorący okres, pełen społecznych napięć, realny socjalizm wchodził w ostatnie stadium, ale jeszcze pokazywał zęby.

Chlebowski nie został internowany w pierwszych godzinach stanu wojennego i w niedziele rano, 13 grudnia 1981 r., pojechał do MPK organizować opór. Spędził pracowicie dzień na rozwożeniu ulotek w obronie aresztowanych: Słowika i Kropiwnickiego. Wieczorem sam znalazł się w milicyjnym areszcie. Zrazu był tylko internowany. Kiedy odmówił podpisania „lojalki”, w pięć dni po zatrzymaniu postawiono go przed wojskowym sądem. Dostał 3 lata, które spędził w Łodzi i Hrubieszowie, protestacyjne głodówki zajęły mu łącznie 52 dni.

Został zwolniony 3.VIII.1983 r. Odwiedził 13 zakładów pracy, ale nigdzie nie chcieli go zatrudnić. Uparł się i nie wyjechał za granicę. Trudny okres pomogli mu przetrwać ks. ojciec Miecznikowski i właściciel prywatnego zakładu rzemieślniczego Ryszard Szczepaniak.

Do MPK wrócił w marcu 1989 r. Natychmiast zorganizował zebranie założycielskie komitetu „Solidarności”, na które zaprosił kierownictwo zakładu. Przyszli, choć z formalnego punktu widzenia było to jeszcze zebranie nielegalne.

W wyborach czerwcowych popierał kandydaturę Karola Głogowskiego.

W wyborach samorządowych z polecenia Stefana Niesiołowskiego sam znalazł się na liście kandydatów. Został radnym, przewodniczył Komisji Gospodarki Mieszkaniowej i Komunalnej. Jest także przewodniczącym „Solidarności” w MPK i członkiem Rady Pracowniczej, wszedł do władz regionu „S”. Za swój sukces uważa powołanie specjalnej komisji, która zlikwidowała działające w MPK spółki.

O kombatanctwie mówi: *komuniści dali mi popalić, ale wielu ludzi miało trudniejszy wybór, choć nie siedzieli w więzieniu. Są ich tysiące.*

K. F.

Prawdziwy hazard

Cd. ze str. 1

przez ręce prawdziwe fortuny. Przy takiej odpowiedzialności trudno się śmiać. Czasami zaferowanemu dealerowi pomagającemu, wymknie się nerwowo wypowiedziana poprawka prowadzącego, i jeśli ma rację – sytuacja zostaje dokładnie omówiona, a klient przeproszony.

Zwyczajne żetony mają wartość 10 tysięcy złotych. Jeśli postawić taki na pojedyncze pole stołu rulety, wygrają się 350 tysięcy. Najlepiej obstawia się kilkunastoma żetonami. Kulka idzie w ruch co 2-3 minuty. Jeśli gra się poważnie – przy stole utrzymują się albo szczęściarze, albo zasobni w gotówkę. Niektórzy wcześniej siedzą przy stole nie grając nawet przez pół godziny, czasami coś sobie notują, później dopiero proszą o żetony w wolnym akuracie kolorze. Każdy gracz ma oczywiście inny kolor, żeby krupierowi się nie myliło. Nawet naprawdę bogatym ludziom przyspiesza tętno, gdy po zielonym stołu sunie ku nim kupka kilkudziesięciu żetonów ustawionych w słupki po dwadzieścia sztuk. Głęboki oddech, „proszę obstawiać”, nerwowe ruchy podrzucające żetony na wybrane pola, polecenia dla krupiera, gdzie ma położyć krążek w odległym kącie stołu i „koniec obstawiania” – koniec, choć wtedy nad stołem najwięcej nerwowych rąk. Kulka zaczyna podskakiwać na obrzeżach kręcącej się tarczy i... już wszystko wiadomo. Bogatemu byk się ociepli, biedny może pograć na czerwone-czarne, parzyste-nieparzyste. I to na małe stawki.

Choć gra na stołach zaczyna się codziennie już od godziny 18 (na 30 automatach można grać od godziny 9 rano), największy ruch jest przed północą. Wtedy bowiem niektórzy mają w kieszeni wygrane fortuny, które chcą – tylko rozsądnie! – pomnożyć, inni są tak bardzo przegrani, że zostaje im się tylko odegrać. Obsługa kasyna liczy ponad 50 osób i wszyscy mają co robić. Największą nerwowość i napięcie wykazuje szef dealerów – Luksemburczyk, z 15-letnim doświadczeniem w branży, który

W większości światowych kasyn gry, przy wejściu stoi elegancki portier w libanii, który wpuszcza wyłącznie gości ubranych wieczorowo. Oczywiście minimum krawat, natomiast w tych lepszych – pod szyją musi być mucha. W „Centrum” na takie przesady nie zwraca się uwagi. Wejść można praktycznie w każdym stroju, nawet nie wyjściowym, o krawat nikt nie pyta. Właściciele kasyna po prostu dobrze rozumieją, że droga do Europy jest przed nami jeszcze długa i są wyrozumiali. Kasyno to interes, a w interesie warunki dyktuje pieniądź. Chyba dlatego też nikt nie sprawdza daty urodzenia pewnego często tu bywającego młodego Cygana, a obsługa tylko miło uśmiecha się do ubranych w dżinsy i koszulki polo arabskich studentów. Natomiast bardzo dba się tu o spokój, ciszę, atmosferę powagi. Ochrona kasyna liczy aż 12 osób, każda z nich to fachowiec w swojej dziedzinie.

Zapytany o specjalizację bardzo masywny przedstawiciel „Security”, ze śmiechem odpowiada: „perswazja; ja po pierwsze powstrzymuję zbyt nerwowe zachowanie się niektórych gości łagodnym tłumaczeniem. Najczęściej to pomaga. A jeśli nie”... Pracownicy ochrony to byli wyczynowcy w sportach siłowych i obronnych. Często instruktorzy w klubach, niektórzy – w szkołach policyjnych. Gromkim chórem stwierdzają, że w „Casino Centrum” do żadnych burd nigdy nie dochodziło i dochodzić nie będzie. Na samym początku było trochę kłopotów z nie potrafiącymi uszanować ciszy, gromadnie tu przychodzącymi Cyganami, ale z biegiem czasu przyzwyczajono ich do panujących obyczajów. Teraz wpadają tu rzadziej.

Kierownictwo kasyna stara się dogadzać klienteli i nie dziwić niczemu. Gdy jeden pan zażyczył sobie wyłącznie dla siebie jednego całego stołu do „Black Jacka” – zapewniono mu to. Zaczął się nudzić już po paru minutach. Obstawiał kilka partii na raz kwotami po dwa miliony (w banknotach), od czasu do czasu podrzucał na stojący parę metrów dalej stół do ruletki jakiś żeton, obstawiając przypadkowo



instruuje podopiecznych, poucza, rejestruje na małych licznikach pieniądze wpływające do stołu, co przydaje się w przypadku jakiejś większej wygranej.

Przy grze o naprawdę wysokie, kilkudziesięciomilionowe stawki, w dużej sali kawiarni hotelu staje się tak cicho, że słychać wyłącznie szmerzący fontannę, strzelanie kart i turkot kulki. I później albo głębokie westchnienia, albo zgrzytanie zębów. Szef ochrony – security – kasyna, pracownik spółki „Trójka”, wspomina, że w takich wypadkach zdarzały się już prawdziwe skowyty, szlochy, niepohamowany śmiech, indiańskie tańce po sali. Choć rekordzista, zdobywca prawie 150 milionów, stał bywałec kasyna, mężczyzna w wieku 30 lat, zareagował godnie. Nazajutrz zaś z otrzymanym czekiem poszedł do banku i miał spore kłopoty: kasjerka z banku kontaktowała się z dyrektorami zarządu kasyna, bo każda wypłata powyżej 100 milionów musi być dodatkowo potwierdzana. Kasyno zmuszone jest posługiwać się czekami, natomiast czeków, a nawet kart kredytowych od swoich klientów nie przyjmuje. Taki zwyczaj.

Jest jeszcze jeden – dla wielu dziwny – zwyczaj. Każdy wchodzący do kasyna (oczywiście obywatel pełnoletni) jest legitymowany i rejestrowany, podpisuje też blankiet będący swoją umową zawieraną z kasynem, że podejmuje się grę. Bo przecież – jak już wspomniałem, później już gra się o prawdziwe pieniądze. O złotówki, choć na żetonach są wartości dolarowe.

Jerzy Machejek

Stosunek do wydarzeń w Mławie

Leszek Miller – sekretarz generalny SdRP – w liście otwartym drukowanym w „Trybunie”, zaprosił posła Stefana Niesiołowskiego do debaty przed kamerami telewizyjnymi. Powodem były oskarżenia jakie pod adresem SdRP wysunął poseł Stefan Niesiołowski. Spotkanie odbyło się wprawdzie nie przed telewizyjnymi kamerami, ale przed mikrofonem „Radioranka”, lokalnego programu Łódzkiej Rozgłośni PR, 3 lipca 1991 roku. Spotkanie prowadził red. Andrzej Berut.

Po wstępnej wymianie poglądów na temat motywów udziału w spotkaniu i stosunku do wysuniętych zarzutów, obaj panowie zasiadli przed telefonami, a następnie ustosunkowywali się do różnych problemów stawianych przed nimi przez red. Andrzeja Beruta. Przedstawiamy obszernie fragmenty wypowiedzi Leszka Millera i Stefana Niesiołowskiego spisane z taśmy magnetofonowej.

Sytuacja w polskim parlamencie

Nieautoryzowany zapis radiowej dyskusji

L. Miller kontra S. Niesiołowski

Leszek Miller: – Na razie nic się nie stało. Wszystko dzieje się w granicach przewidzianych konstytucją. Ale z małej sprawy dotyczącej sposobu głosowania urosła poważna kwestia: stosunek pomiędzy prezydentem a parlamentem, pytanie, czy Polska ma być państwem prezydencko-parlamentarnym czy parlamentarno-prezydenckim. My stoimy na stanowisku, że przede wszystkim parlament jako system rządów, jako przedstawicielstwo narodu. Główna rola parlamentu nie powinna podlegać żadnej dyskusji. Będziemy sprzyjać temu, aby tak się stało. (...)

Stefan Niesiołowski: – Jeśli chodzi o ordynację, to ta debata była pretekstem do ataku na prezydenta. Poza tym – wiąże się to z ordynacją – pańska partia przegłosowała, a teraz macie cennych sojuszników w postaci Unii Demokratycznej – antykościelny paragraf, zakazujący agitacji w kościołach. Potem, pod wpływem prezydenta wycofaliście się z tego, ale także częściowo, to znaczy Sejm się wycofał. Wasza partia nadal w głosowaniu, przynajmniej w większości, była za tym antykościelnym paragrafem. Reasumując najogólniej – spór ten był wykorzystywany przez pańską partię do ataków na prezydenta. Służę faktami. Są stenogramy, są śmiechy, oklaski, chichoty, kpiny z prezydenta.

Czy istnieje koalicja Unii Demokratycznej i SdRP?

Stefan Niesiołowski: – Tak. Zawiązała się. Taka koalicja jest faktem. Mówią o tym wyniki głosowań: sprawa terminu wyborów, odroczenie, czyli odsunięcie w nieokreśloną przyszłość po wyborach, ustawy o ochronie prawnej dziecka poczętego, kwestia ordynacji wyborczej, wszystkich poprawek prezydenckich. Wspólne blokowanie wielu ustaw. Mało tego. Zupełnie zdumiewające, idiotyczne referendum w sprawie Senatu. Ten sojusz jest dla mnie faktem. No i przede wszystkim jest to sojusz antyprezydencki. Kiedy przemawia poseł Geremek, SdRP bije wielkie brawo, wznosi owacje. Kiedy poseł Koralewski w aroganckim, obrzydliwym wystąpieniu sugeruje, że jest jakaś grupa, która spisuje lojalistów, że otoczenie prezydenta potrzebuje na sali sejmowej spisywać postów, którzy są przeciwko prezydentowi, wywołuje to furję radości po stronie SdRP. Ten sojusz jest faktem politycznym, moim zdaniem – bardzo dla Polski niebezpiecznym.

Leszek Miller: – Bardzo bym chciał, aby to, co pan mówi stało się faktem, aby taki sojusz powstał. Byłoby to właśnie z korzyścią dla Polski. Dlatego, że potwierdziłbyśmy, że oto w Sejmie powstaje sojusz sił zdrowego rozsądku przeciwko demagogii, populizmowi i niebezpiecznym poczynaniom, które mogą Polskę zaprowadzić na skraj przepaści. Ale takiego sojuszu nie ma. Natomiast rzeczywiście, w trakcie różnych głosowań, powstają rozmaite koalicje i to jest normalne. (...)

Jeśli chodzi o pana prezydenta, to gdy krytykuje on rozmaitych polityków, nie mówi o nas. Używa zupełnie innych nazwisk. Pan Urban może czuć się wyróżniony, że o nim też mówi. My bardzo chcielibyśmy szanować pana prezydenta. Tylko, na litość boską, niech pan prezydent da nam taką szansę. (...)

My byliśmy i jesteśmy nadal przeciw wykorzystywaniu ambona do walki politycznej. Chyba, że też dostaniemy czas ambonowy. Tym bardziej, że w naszych szeregach jest wielu wierzących i że będziemy mogli agitować z ambon. Na równych prawach. Wtedy zgoda. (...)

Stefan Niesiołowski: – (...) Tu się zgadzamy, żeby ambona nie była wykorzystywana do działań politycznych. I ona nie była wykorzystywana. Ja byłem przeciwny wyłącznie zapisowi w ordynacji wyborczej, który jakby sugerował, że Kościół taką działalność może prowadzić. Nigdy jej nie prowadził. Nawet komuniści zostawili Kościół pod tym względem w spokoju. Taki zapis był po prostu antykościelną zaczepką, nieuzasadnioną. (...)

Stefan Niesiołowski: – Jestem oczywiście przeciwny każdej ksenofobii, każdemu nacjonalizmowi, każdej zbiorowej odpowiedzialności. Natomiast jestem za przestrzeganiem prawa. Sprawę znam tylko z gazet. „Gazeta Wyborcza” ten pogrom – jeśli można użyć takiego słowa – wykorzystala do ataku na mnie. Z tego, co wiem, zachowanie Cyganów w Mławie było skandaliczne. Zachowywali się tam w sposób bezczelny, lajdacki i uważam, że to powinno być przedmiotem dochodzenia. Natomiast każda zbiorowa odpowiedzialność z tego powodu, że dwóch Cyganów zabiło kogoś na jezdni, jest czymś złym. To nie może być powód, aby Cyganom pładować domy. I chyba każdy uważa, że zbiorowa odpowiedzialność jest zawsze złem.

Andrzej Berut: – Czy nie sądzą panowie, że nastroje w kraju, jakie teraz panują, sprzyjają takim wydarzeniom?

Stefan Niesiołowski: – Nie, wydaje mi się, że

nie. Nie widzę takiego niebezpieczeństwa w najmniejszym stopniu.

Leszek Miller: – Uważam, że te nastroje sprzyjają, bo nie dotyczy to tylko Mławy. Prasa przemilczała inny wypadek. W województwie tarnobrzeskim grupa Świadców Jehowy postanowiła wybudować własną świątynię. W nocy grupa mieszkańców z pobliskich miejscowości, wyznania rzymskokatolickiego, zniszczyła tę budowę. Otóż mamy niewątpliwie do czynienia ze wzrostem nietolerancji w stosunku do inaczej myślących, ubierających się itp. Dla mnie ważne jest pytanie: jak gwarantuje się prawa mniejszości? Nie większości. Czy ta mniejszość czuje się zagrożona lub nie, czy ma możliwość uczestniczenia w życiu publicznym? Odpowiedź na te pytania jest odpowiedzią na inne: jaką mamy w tej chwili demokrację i do jakiej demokracji zmierzamy.

Jak potoczą się wydarzenia w Polsce?

Leszek Miller: – Sądzę, że wszystko zależy od stanu gospodarki. Czy te, dzisiaj katastrofalne, symptomy będą się pogłębiały, czy zostaną zatrzymane. To przede wszystkim nie spotykany w historii spadek produkcji. (...) To powoduje wzrost napięcia społecznych, wzrost obaw, co w Łodzi ma szczególne znaczenie. (...) Niestety z wielką obawą patrzę w przyszłość. I sądzę, że będziemy mieli do czynienia z jakimś niekontrolowanym olbrzymim wybuchem społecznym.

Stefan Niesiołowski: – Spadek produkcji jest rzeczą ważną, ale to jest tylko jeden z elementów kształtujących sytuację. Co z tego, że produkcja rośnie, kiedy te towary były marnej jakości i nie sprzedawały się. Znamy produkcję, która czasem lepiej, gdyby nie miała miejsca, bo powoduje zanieczyszczenie środowiska i inne skutki uboczne. Nie przewiduję wielkiego wybuchu społecznego. Niezadowolone społeczeństwo oczywiście jest. Ono wynika z pewnego rozczarowania Polską demokratyczną. To jest zrozumiałe. Ale po 45 latach rządów komunistycznych, moim zdaniem, nie ma alternatywy. Nie widzę takiej alternatywy i socjaldemokracja także nie jest w stanie przedstawić rozsądnej alternatywy wobec programu reform gospodarczych. Oczywiście plan można korygować, ale istota wyjudicia Polski z kryzysu, właśnie w kierunku budowania systemu kapitalistycznego, jest dobra. I dopóki społeczeństwo nie uzyska propozycji, którą mogłoby masowo poprzeć, bo tylko wtedy wybuch społeczny ma jakiś rezonans, to takiego wybuchu nie obawiam się. (...)

Leszek Miller: – Być może część produkcji nie była technicznie doskonała. Ale to nie dotyczy Łodzi. Bo akurat przemysł lekki w Łodzi nie ustępował standardom zachodnim, dysponował nowoczesnymi liniami produkcyjnymi, znakomicie wyszkoloną kadrą, znakomitymi robotnikami. I to, że akurat ten przemysł pada, to jest rzecz jakby zupełnie nie zwiniona przez tych ludzi. (...)

Stefan Niesiołowski: – (...) Jeśli chodzi o przemysł lekki w Łodzi. Zgoda. Jego sytuacja była w miarę dobra, ale jednak jak widać z tego, nie były to produkty konkurencyjne, skoro nie były kupowane. W warunkach wolnego rynku nie byłoby tego, co jest. Natomiast widzę szansę restrukturyzacji tego przemysłu. To jest sytuacja dobra. Myślę, że my w Łodzi wyjdziemy z recesji. Ale to musi potrwać. (...)

W czasie trwania dyskusji na antenie Łódzkiej Rozgłośni PR zadzwoniło 126 osób. Pięć stwierdziło, że nie głosowałoby, gdyby teraz były wybory, na żadnego z panów. Na L. Millera głosowałoby 79 osób, na S. Niesiołowskiego – 42.

Wypowiedzi obu dyskutujących nie były autoryzowane.

Opracowała:
Bogda Madej

W Danucie Wałęsowej pokładały ostatnią nadzieję...

Stan gorączkowy

Przyszedł do spółdzielni, bo myśleli, że tu będą na swoim. Nie zarabiali kokosów. Ponieważ na rynku wciąż brakowało termometrów, całą produkcję przeznaczali dla kraju, nie myśleli o eksporcie. W latach 80. ani razu nie zastrajkowali, popierali wywieszając flagi, gasząc palniki najwyżej na 15 minut. Wiedzieli, że nie mogą sobie pozwolić na przestój. Aby usprawnić produkcję, zrezygnowali z podwyżek, kupili laser i tlenownik, spłacili wszystkie kredyty. Teraz nie mają na życie, zmuszeni są do korzystania z opieki społecznej.

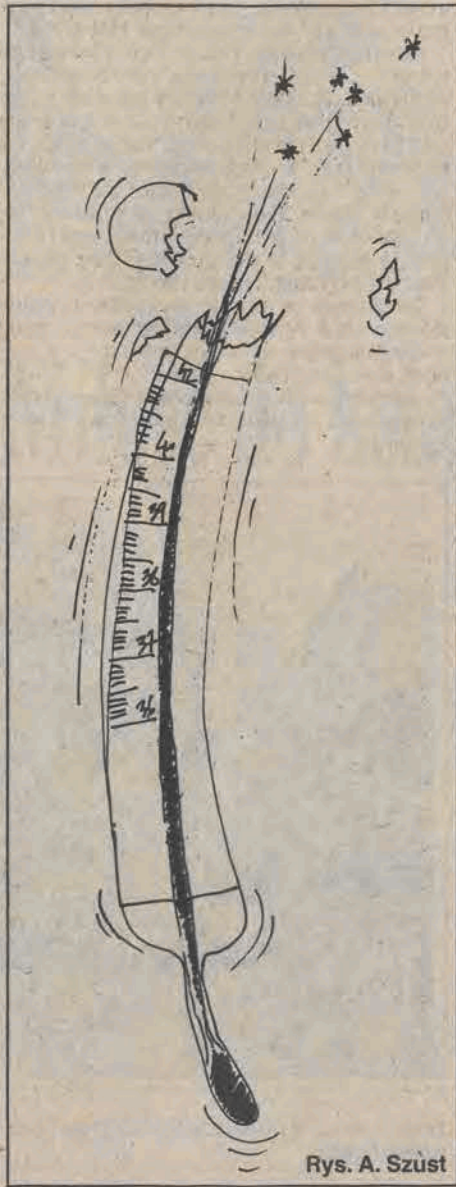
12 czerwca br., w dniu wypłaty, kiedy zamiast pieniędzy otrzymali tylko paski papieru z naliczeniem majowego wynagrodzenia, rozpoczęli strajk. Kiedyś Łódzka Wytwórnia Termometrów zaspokajała zaledwie 15 proc. krajowego zapotrzebowania, w maju br. sprzedała mniej niż wynosi jej dzienna produkcja. Spółdzielnia stała się ofiarą niewypłacalności służby zdrowia, która nie ma pieniędzy na zakup ani termometrów, ani strzykawek, ani nawet leków ratujących życie.

90 proc. załogi to kobiety, wiele z nich samotnie wychowuje dzieci. Swego rzadkiego zawodu uczyły się w specjalnej szkole, nigdzie indziej pracy nie znajdują, bo ŁWT jest jedynym w Polsce producentem termometrów lekarskich. Nie mogą nawet zarejestrować się jako bezrobotne, bo ministerstwo nie pozwoliło zlikwidować spółdzielni.

Zarząd, związki zawodowe i komitet strajkowy wysyłały teleksy za teleksem do Sejmu, Senatu, premiera, wszystkich zainteresowanych ministerstw, Kancelarii Prezydenta z prośbą o pomoc, o radę jak wyjść z impasu. Kobiety zwróciły się z dramatycznym apelem do Danuty Wałęsowej, w niej pokładając ostatnią nadzieję, jej powierzając los swych dzieci.

Stracili już złudzenia, że otrzymają odpowiedź. Usatysfakcjonowałyby ich nawet odmowna, niegrzeczna, jakakolwiek – byleby była. Nikt nie chce im podpowiedzieć, jak mają dalej funkcjonować. Czują się zlekceważeni i obrażeni milczeniem władz. Rozgoryczeni, stwierdzają, że nie „O TAKE POLSKIE” walczyli. Mogą jeszcze zrozumieć, że minister nie chciał rozmawiać z OPZZ z powodu „różnicy opcji politycznych”, ale dlaczego nie chce mówić z „Solidarnością”, ze swoimi? Przecież służba zdrowia dogorywa.

Na początku byli nastawieni wojowniczo, po 3 tygodniach strajku i oczekiwania przeszedł im zapał i optymizm. Ich miejsce zajęła rozpacz i bezsilność, bo jak długo można żyć



Rys. A. Szust

za 260 tysięcy. Upokorzeni i poniżeni, są u kresu wytrzymałości fizycznej i psychicznej. Czasem przemknie myśl, że może gdyby ktoś skoczył z IV piętra albo odkręcił gaz (a gazu w wytwórni nie brakuje), wreszcie zainteresowano by się losem spółdzielni? Gorycz i żal dyktuje ostre słowa.

„Nie potrafię chodzić po prośbie. Mam dwie zdrowe ręce i chcę zapracować na swoje 900 tysięcy. Wstyd mi, że utrzymuję się z renty córki. Balczerowicz z Wałęsą nie są w stanie przetłumaczyć mi, że bym poszła po zasilek. Zaciśkam pas, ale już brakuje w nim dziurek”.

„Za komuny nigdy nie zdarzyło się, że bym nie dostała wypłaty. Lepsza albo gorsza, starczała lub nie, ale była. Dlaczego trzeba niszczyć to, czego już nigdy nie uda się odbudować? Przecież to gospodarczy sabotaż. Czy chodzi o to, żeby unicestwić polską gospodarkę i zrobić miejsce dla obcych?”

„Elektrownie nie obchodzi, że ktoś może nie mieć na zapłacenie rachunku – po prostu odcinają prąd, a niektórych nie stać już nawet na świeczkę”.

„Nie wyprowadzam dzieci na spacer, żeby uniknąć pokusy. Jak mam wytłumaczyć trzylatkowi, że nie mogę mu kupić lodu ani truskawek. Liczę, żeby starczyło mi choć na chleb”.

„Po 27 latach pracy zostałam skierowana do opieki społecznej po zapomogę. Rząd postawił mnie w takiej sytuacji, że musiałam pozbyć się wstydu”.

Mimo niskich zarobków nie żądają podwyżki. Wierzą, że ich produkcja jest potrzebna, więc domagają się prawa do istnienia, prawa do pracy, które mają zagwarantowane. Na razie strajkują po 6 godzin dziennie (kobiety nie mogły sobie pozwolić na bardziej radykalne posunięcia), ale doprowadzeni do ostateczności – nie wykluczają okupacji zakładu.

Wolą większości załogi było podjęcie protestu zarząd spółdzielni „nie dziwi się temu – ludzie mają prawo do wynagrodzenia”. Zdaje sobie też sprawę, że ciężko jest przeforsować na szczeblu centralnym sprawę jednostkowej wytwórni zatrudniającej tylko 152 osoby. W podobnej sytuacji znalazły się wszystkie firmy produkujące dla potrzeb służby zdrowia.

Zarząd oczekuje gwarancji, że skoro spółdzielnia ma nadal istnieć, zapewni się jej możliwość zbytu. Liczy także na celno-prawne uregulowanie w związku z faktem, że na rynku pojawiły się w dużych ilościach termometry radzieckie, holenderskie i tajlandzkie – tańsze, ale nie legalizowane, nie posiadające atestu Państwowego Urzędu Miar i Wag. Szansy na dalsze istnienie wytwórni upatruje się w przygotowywanej przez Sejm ustawie o spółdzielczości, kolejnym krokiem byłaby prywatyzacja. Jednak najbliższą przyszłość to miesięczny postój „technologiczny” i ciąg dalszy walki o ocalenie jedynej w kraju wytwórni termometrów lekarskich.

Monika Matuszak

W ministerstwie rozważa się możliwość rozdawania fabryk

Informacja, za jaką kwotę sprzedano ZPDz. „Bistona”, którą podano w Wiadomościach TV w ubiegłym tygodniu zbulwersowała bardzo wielu Polaków.

Wartość tej transakcji w przybliżeniu można przyrównać do ceny:

- 12,5 domków jednorodzinnych z ogrodem o powierzchni 6000 m²,
- 24 mieszkań własnościowych w starym budownictwie o pow. 140 m²,
- 32 samochodów marki „Mercedes”,

brakujące Włochom do zapłaty pierwszej raty 100 złotych dopłacił z własnej kieszeni.

„Bistonę” sprzedano za 1/5 wartości tego co oferowała niemiecka firma „Transmarine” GmbH. Oferta ta nie była rozpatrywana – jak twierdzi likwidator – z dwóch powodów. Po pierwsze, ponieważ została złożona 3 dni po terminie. Zdaniem pracowników „Biston” zastanawianie się opóźnionym o trzy dni terminem złożenia w stosunku do najkorzystniejszej pod względem wysokości oferty (9 mld USD)

sprzedana została wrocławskiej spółce oraz przedsiębiorstwu z Chorzowa i Nowej Soli.

O to, czy sprzedaż „Biston” jest „geszeftem” czy uczciwą transakcją, jej pracownicy zapytali prokuratora generalnego, Najwyższą Izbę Kontroli i Sejmową Komisję Budżetu i Finansów oraz Komisję Przekształceń Własnościowych. Dotychczas nie uzyskali jednak odpowiedzi. Likwidację swojego zakładu uważają za sprawę polityczną.

1 m² „Biston” kosztował Włochów ok. 14 dolarów czyli 161 tys. złotych. Dla porównania

„Bistona” tańsza od sklepu

- 294 samochodów marki „Polonez”,
- 10 tysięcy noclegów w hotelu „Marriott”,
- 200 tys. butelek spirytusu,
- 2 milionów paczek papierosów „Marlboro”,
- 16 milionów biletów tramwajowych,
- Wartości zasiłku wypłaconego w okresie 2 m-cy 1360-osobowej załodze „Biston” i „Rolteksu”, która z powodu tej transakcji utraciła pracę, oraz 8 000 pracowników w firmach kooperacyjnych, którzy w najbliższym okresie także z tej samej przyczyny zostaną bez pracy.

Jak poinformowała nas kierowniczka Rejonowego Biura Pracy Lidia Marlicka w samej Łodzi jest już obecnie 60 tys. bezrobotnych, natomiast zaledwie 678 miejsc pracy.

„Bistonę” sprzedano za 9 proc. wartości, na jaką była wyceniona. Zdaniem likwidatora Henryka Zagórowskiego decyzja o sprzedaży zakładu firmie Legler była jednak słuszną. Będziemy mogli się o tym przekonać za 3 lata, wówczas to bowiem zakończona zostanie realizacja włoskiego programu, dzięki któremu ma powstać w Łodzi nowoczesne przedsiębiorstwo o 3400 miejscach pracy. Na razie likwidator uspokaja, iż wieści o niewypłacalności włoskiej firmy są kłamstwem. Pierwsza rata została już zapłacona. W zaufaniu likwidator powiedział „Odgłosom”, że

jest przykładem paranoicznego sposobu myślenia. Drugim powodem odrzucenia niemieckiej oferty było to, że zakup na terenie Dąbrowy jeszcze dwóch zakładów (sprzedano już Niemcom Zakłady im. A. Struga) spowodowałby powstanie tam silnego niemieckiego ośrodka przemysłowego.

„Bistonę” sprzedano za 13-miesięczne wpływy do budżetu (dywidendę), które odprowadzała ona do skarbu państwa.

Zdaniem ministra przemysłu oferta włoska jest jednak zdecydowanie najbardziej korzystna. „Kwota 2 mln dolarów, którą uzyskano ze sprzedaży może się wydawać niska, ale należy przy tym pamiętać, że Legler kupił tylko budynki. Cały park maszynowy sprzedawany jest innym nabywcą, co do których wojewoda łódzki Waldemar Bohdanowicz postawił dwa warunki. Maszyny i urządzenia mają być sprzedawane kupcom tylko z terenu województwa łódzkiego oraz że przy obsłudze tych maszyn mają być w pierwszej kolejności zatrudniani ludzie, którzy są aktualnie zwalniani z obydwu przedsiębiorstw” – powiedział „Odgłosom” przedstawiciel ministerstwa przemysłu.

Jak poinformowali nas pracownicy „Biston”, a co potwierdził także likwidator, część maszyn

1 m² sklepu przy ulicy Piotrkowskiej kosztuje od 500 do 900 tys. złotych, targowisk łódzkich 900 tys. złotych

W tej chwili rozważa się w ministerstwie możliwość rozdawania fabryk – mówi likwidator Henryk Zagórowski – byleby tylko te fabryki nie stanowiły obciążenia dla skarbu państwa, natomiast dawały w najbliższej przyszłości perspektywę rozwoju, nowych miejsc pracy i zysków. Sytuacja w przemyśle włókienniczym zwłaszcza w Łodzi i w małych ośrodkach jest tragiczna. Spodziewam się, że w Łodzi upadnie w tym roku ok. 12 zakładów włókienniczych i będą duże trudności, aby znaleźć nabywców na te obiekty. Nie mówię już o wartości odwrotnej, ale o jakiegokolwiek wartości. Przypadek Zakładów im. A. Struga, które udało się sprzedać za bardzo korzystną cenę jest pozytywnym wyjątkiem. Wydaje mi się, że w przyszłości coraz mniejsze będą kwoty, które będziemy mogli uzyskać za budynki, a zwłaszcza za budynki wielkie.

Jeśli dalej będziemy iść w tym kierunku, może dojdziemy do sytuacji, że właściciele przedsiębiorstw państwowych będziemy brać z łapanki.

Beata Kostrzewska

Parę kubłów zimnej wody

Cd. ze str. 3

wniła się w trakcie kampanii wyborczej między ŁPO i WKO, dojdzie do jakiegoś porozumienia. Przecież na liście kandydatów ŁPO byli moi koledzy, ludzie rozumni, rozsądni, uczciwi. Sądziłem, że w Radzie Miejskiej wszystko się ułoży, że połączy nas interes miasta.

Gdy znalazłem się na liście kandydatów WKO, zawiesiłem swoją działalność w Komisji Zakładowej „Solidarność” w Muzeum Kinematografii, gdzie byłem przewodniczącym. Po wybraniu mnie radnym zrezygnowałem z funkcji w „Solidarności”. Zdecydowałem się kandydować z powodów moralnych i żadnych innych. Teraz spotkała mnie na ulicy koleżanka, z którą chodziłem razem do liceum i ona woła do mnie: – Jacek, co się z tobą stało? Tak dobrze się zapowiadałeś, a potem jakieś ulotki, Rada Miejska, teraz jakieś protesty, co ty wyprawiasz? – W tej Radzie traci się na intelekcie. Pierwszy kubek zimnej wody wylał na mnie pan Grzegorz Palka, gdy oświadczył, że ŁPO bierze całą władzę i że właściwie my już im nie jesteśmy do niczego potrzebni.

– Jakie były następne kubły zimnej wody?

– Fakt, że głosowania jawne przebiegają inaczej niż tajne. Rodzi to we mnie podejrzenie, że radni z ŁPO są pod politycznym naciskiem. Na przykład w głosowaniu tajnym ustaliliśmy skład Rady Nadzorczej Spółki „Prasa Łódzka”. Po czym klub radnych ŁPO zbiera się i wraca na salę zwały i z innym zdaniem niż wykazało to głosowanie tajne. Jak to inaczej rozumieć? Spodziewałem się, że moi koledzy będący w gronie radnych ŁPO będą bardziej samodzielni w myśleniu i działaniu. My staramy się nadal utrzymać etos „Solidarności”. A oni?

– Nie mogę też się pogodzić z tym, że radni mogą jednocześnie zostawać urzędnikami w Urzędzie Miasta. Dla mnie jest to nie do pogodzenia, to jest dopiero niemoralne.

Są to sytuacje nie do przyjęcia i trzeba przeciw nim protestować. Takie łączenie wielu funkcji i stanowisk wywodzi się z poprzedniej epoki, przeciw czemu ostro występowała „Solidarność”.

– Sytuacja miasta nie jest dobra. To wiemy wszyscy. Ale w tej sytuacji zajmowanie się w Radzie Miejskiej nazewnictwem ulic ludzie traktują jako zajęcie niepoważne i obciążające budżet miasta. Czy wy tego nie widzicie?

– Widzimy. Zdajemy sobie sprawę, że jest to bez sensu, że skoro traci autorytet Rada Miejska, traci go ŁPO, to i my też tracimy. Ale jesteśmy bezsilni. A gdy już w grę wchodzi święty, to można się narazić na zarzut uprawiania propagandy anty czemuś tam. Poza tym w działaniach komisji do spraw nazewnictwa razi prymitywizm ahistoryzm. Według pana Lucjana Muszyńskiego ulicę Wery Kostrzewy, czyli Marii Koszutskiej, trzeba było zlikwidować dlatego, że to przez nią był Katyń. Nie pomogło tłumaczenie, że ją w 1939 roku zamordowało NKWD z rozkazu Stalina, a Katyń był w 1940 roku. No i tu ręce opadają.

A jeśli idzie o koszty, to w końcu nie o wydatki tylko chodzi. Moim zdaniem koszty społeczne są znacznie wyższe. Ludzie muszą zmieniać dokumenty, druki firmowe, pieczątki. Powstaje zamieszanie. I to są koszty bardziej poważne i trudno nie dostrzec ich szkodliwości społecznej, która w konsekwencji takiej działalności może wystąpić. Bo te zmiany robi się w sposób urągający logice, rozsądkowi i wiedzy.

– Mam nadzieję, że mimo tego typu doświadczeń, nie zraził się pan do idei samorządności?

– Odpowiem na to tak: – idea jest słuszną, eksperyment łódzki nieudany. Myślę, że w innych wydaniach jest on też nieudany, a to przez fakt, że samorządy otrzymały mały zakres kompetencji. W Łodzi taki, jaki miały rady dzielnicowe. Natomiast to, co leżało w gestii rady wojewódzkiej i prezydenta, pozostało w gestii wojewody. Gdyby to ode mnie zależało, to bym przekazywał gminom wszystko, co się da. Trzeba również – co jest przecież podstawą działania samorządu – uporać się z jego finansowaniem.

– Nie obawia się pan narastających tendencji centralistycznych, które ukryte są w hasłach o potrzebie silnej władzy?

– Byłem zwolennikiem koncepcji liberalistów powołania w Polsce autonomicznych rejonów, z własnymi parlamentami i rządami. Koncepcja upadła. Zwyciężyło przekonanie, że ludzie nie potrafią się ani dobrze rządzić, że trzeba nimi sterować, co jest pozostałością bolszewickiego sposobu myślenia. Takie myślenie powoduje, iż uważa się, że demokracja kończy się tam, gdzie rozpoczyna się skuteczne działanie. Mnie natomiast odpowiada bardziej koncepcja przedwojennej PPS, że wszelkie działania należy sprowadzić na dół do ludzi. Tylko tak można budować demokrację. I to nie jest frazes, tylko proces, ścieranie się poglądów, wsłuchiwanie się w głos ludzi, również tych – a może nawet przede wszystkim tych – którzy inaczej myślą, rozumieją, inne mają poglądy i programy.

W moim przekonaniu partią, która szczególnie przejawia centralistyczne tendencje jest ZChN. I przeciwstawić się tym tendencjom trzeba, właśnie budując od podstaw samorządność w Polsce.

Rozmawiała:
Bogda Madej

Konkurencyjność – z punktu widzenia nas, szarych zjadaczy „kuronówki” – jest zjawiskiem nader korzystnym i pożytecznym. I to zarówno w handlu, usługach, itepe, jak i w polityce, kulturze, itede. I niby nie powinny nas obchodzić mechanizmy, metody i kulisy walki konkurencyjnej, tylko jej efekty. Czasem jednak obchodzą.

W najbardziej malowniczych polskich górach, Karkonoszach, bardziej w ostatnich latach kojarzących się nam z umiarkującym lasem, ofiarą kwaśnych deszczy, niż rajem dla narciarzy i włóczykijów, stoi na stromym stoku Szrenicy, 10 minut od szczytu góry wznoszącej się nad Szklarską Porębą jak Giewont nad Zakopanem, stare schronisko górskie, okazały kamienno-drewniany budynek. Zbocze jest tak strome, że gdy jedzie się pod górę wojskowym gazikiem typu UAZ, pasażer ma nieodparte wrażenie, że pojazd za chwilę stanie dęba, wywróci się na dach i pokoziołkuje w dół. Dlatego z ulgą wita koniec podróży.

Łodzianie skłóceni w ... Karkonoszach

Konkurencja na hali

Schronisko na Hali Szrenickiej należy do nielicznych w Karkonoszach, których niestrawił pożar (jak Samotnię, Strzeżę Akademicką, na Śnieżnych Kotłach i kilka innych), choć PTTK, jako wieloletni gospodarz obiektu spisał się nie gorzej od żywiołu, zostawiając po sobie zniszczenia i zapuszczenia. Przez wiele lat było źródłem sporych dochodów, ale nikt wtedy nie myślał o remontach i konserwacji. Jak w kopalniach węgla, które rabunkowa gospodarka doprowadzała do ruiny.

500 metrów dalej, na tej samej Hali Szrenickiej stoi inny obiekt: budynek dawnej strażnicy WOP. Dziś granica z Czecho-Słowacją jest już bezpieczna i nie musi być tak szczególnie chroniona, jak w czasach wzajemnego zrozumienia i coraz głębszej przyjaźni. Dlatego strażnicę zlikwidowano. Wojsko jednak nie wypuściło z rąk tak smakowitego kęsa i była strażnicą wraz z przylegającym terenem przekazała „zgodnie z porozumieniem stron oraz decyzją ówczesnego wojewody jeleniogórskiego” pod administrację WKS „Orzeł – WAM”, w Łodzi. brał w tym udział również były burmistrz Szklarskiej Poręby, bez porozumienia jednak z Radą i Zarządem Miasta. Wszystko to dzieje się na terenie Karkonoskiego Parku Narodowego, z tym, że była strażnica wraz z przyległościami stanowi w dalszym ciągu – nie wiedząc czemu – wyłączoną enklawę, co – prawdopodobnie zdecydowało, że dyrekcji Parku również nie zwracano głowy operacją przekazania budynku nowym właścicielom. Dziś – według zapisu – jest tam Ośrodek Szkoleniowo-Sportowy o nazwie „Kamieńczyk”, przeznaczony dla potrzeb szkoleniowych wojska, wojskowych klubów sportowych oraz organizacji i szkół współpracujących z wojskiem. Jest to tak zwany „pic na wodę”, o czym za chwilę.

Schronisko „Na Hali” przejął od PTTk agent, ale na krótko a nowym jego dzierżawcą, tymczasem na 5 lat, jest od połowy maja fizyk z Łodzi, Jan Zieliński. Jako miłośnik i znawca gór, od dawna myślał o włodarzeniu schroniskiem i gdy tylko okazało się to możliwe, skorzystał z okazji. Z miejsca zabrał się do roboty wraz z kilkoma pracownikami, którzy muszą mieć praktycznie wszystko, bowiem praktycznie wszystko jest tam do zrobienia. Prace postępują, a jednocześnie przyjmuje się i obsługuje turystów.

Komendant Ośrodka Sportowego WAM warunki ma o niebo lepsze. Przejął obiekt wyremontowany i oddechany. Ma do pomocy żołnierzy służby zasadniczej, którym nic nie musi płacić, w ogóle wszystkie rachunki i opłaty pokrywa wojsko. Przeniknięcie jednak do wojskowej buchalterii jest trudne i dlatego nikt z zainteresowanych po „cywilnej stronie” nie wie skąd i dokąd płyną pieniądze. Czy to MON, czy WAM, czy jeszcze inna umundurowana komórka. Może nie należy się temu dziwić. Jednak obiekt ten nie jest, wbrew zapisowi, obiektem czysto wojskowym, jest typowym schroniskiem i przyjmuje do siebie turystów ze szlaku nie wnikając, czy mają jakiegokolwiek powiązania z wojskiem, czy nie. I w tym, od biedy, nie byłoby nic złego – poza omijaniem przepisów – lecz tu właśnie zaczyna się niezbyt czysto prowadzona rywalizacja.

Komendant Ośrodka, dr Zygmunta Popiel, emerytowany pułkownik WP (także z Łodzi), który osobiście obsługuje bufet w kawiarence, niskim donośnym głosem informuje każdego przybysza (mnie również), że u niego wrzątek, przysnycie i świetlica są darmo, że są tanie noclegi i dobre warunki, że wraca się do dawnych dobrych tradycji turystycznych – czyli dokładnie odwrotnie niż u konkurencji, gdzie drogo, byle jak i w nocy świeci jedna żaróweczka o mocy 25 W, co szczególnie podkreśla. Przez skromność pewnie nie informuje o przyznanych tych różnic, o przywilejach i komfortach własnej sytuacji, wobec której konkurent na razie dysponuje tylko uporem, pracowitością i przetrzysną wizją przyszłości.

Konkurencja zaczyna się już wcześniej. Na szczycie Szrenicy, przy górnej stacji wyciągu krzesełkowego, stoi kiosk-bufet z artykułami spożywczymi. Otóż, właściciel tego kiosku informuje (raczej dezinformuje) turystów, że „ta duża buda na Hali jest zamknięta”, natomiast tuż obok funkcjonuje świetne schronisko, mile i wygodne i tam właśnie kieruje wędrowców. Czy robi to tak ot, sam od siebie? A od przewodniczącego Komisji Turystyki UM w Szklarskiej Porębie dowiedziałem się, że ten kiosk postawiono na dziko, bez niczyjej zgody, wbrew wszelkim przepisom. Mimo to prosperuje. Czyżby w zamian za świadczone „usługi” reklamowe? Pani sekretarz miasta uchybienia prawnego związanego z kioskiem nie skomentowała, jakby nie dosłyszała. Natomiast fakt, że w dyrekcji Karkonoskiego Parku Narodowego nikt nie wie o tym, że Ośrodek WAM prowadzi normalną działalność gospodarczą skwitowała kategorycznie: „Złe to świadczy o służbach kontrolnych Parku”.

Z-ca dyrektora Parku Narodowego Józef

Szafran zżyma się, że taki obiekt w ogóle nie ma prawa bytu na tym terenie. Póki była tam strażnica WOP, to enklawa miała uzasadnienie, ale teraz? „Nasze protesty nie są w ogóle respektowane, wszystko toczy się dalej. MON-u nasza opinia nie interesuje. Jesteśmy za krótko – mówi z poczuciem bezradności. Sprawę wniósł na wyższe szczeble władzy poseł Jan Wróbel, ale utknęła gdzieś między MON-em a Ministerstwem Ochrony Środowiska, Leśnictwa i Zasobów Naturalnych. Trzeba będzie sprawę skierować do sądu, by przejąć obiekt. Dyrekcja Parku ma bowiem pomysł na jego zagospodarowanie. Chce, mianowicie, wespół z PAN-em, urządzić w nim placówkę naukowo-badawczą, która zajmie się ratowaniem lasów karkonoskich przed morderczymi skutkami cywilizacyjnych wyzwoleń. Ten projekt nie powinien budzić żadnych wątpliwości u nikogo, kto – choćby z trudem – potrafił się jednak posługiwać własnym rozumem. Inaczej jest z MON-em, który interesy finansowe przekłada nad racje ginącego środowiska (z którego przecież tu, w Karkonoszach, żyje).

O całkowitej ignorancji wobec przyrody i lekceważeniu zdrowia mieszkańców Szklarskiej Poręby świadczy fakt, że popioły i tzw. szlak z pieców wyrzuca się na drogę dojazdową. Stamtąd, wraz z deszczem, zanieczyszczenia spływają do strumienia zasilającego ujęcie wodne dla miasta, położone tuż ponad słynnym wodospadem Kamieńczyka. To już groza.

O arogancji służb wojskowych świadczy natomiast ich stosunek do oczyszczalni ścieków. Pracuje ona dla potrzeb obiektów: obu opisywanych schronisk i byłego schroniska na szczycie Szrenicy, też potężnego obiektu, w którym dziś gospodarzy tylko stróż i meteorolog, a bałagan wokół budynku może przynieść absurdalną myśl, że jest to miejskie wysypisko śmieci. Schronisko to, „remontowane” od 20 lat kosztem miliardów, powoli przemienia się w ruinę – ale to tylko na marginesie.

Licznik rzeczony oczyszczalni ścieków zapisany jest na „Hale”. Jan Zieliński musi więc płacić – pod groźbą różnych restrykcji administracyjnych – ponad 10 mln zł miesięcznie, czyli dużo (plus 25 mln zł innych opłat miesięcznych). Pojechał więc do Łodzi, do służb kwatermistrzowskich WAM-u, by uzgodnić współudział w opłatach. Tam usłyszał od opryskliwego pułkownika („zostałem potraktowany jak przedmiot”), że WAM nie będzie uczestniczył w opłatach w sytuacji, gdy w byłej strażnicy przebywają zaledwie 3 osoby i tylko od czasu do czasu kilku sportowców. Jest to oczywiście nieprawda, byłem i widziałem, że jest inaczej. Gdybym jednak uległ halucynacji, mam przed sobą ulotkę podpisaną przez dra Zygmunta Popiela skierowaną do turystów, a reklamującą zalety Ośrodka jako schroniska gdzie poleca się całodniowe wyżywienie i zachęca do odwiedzin nawet wycieczki zbiorowe. I takie wycieczki są. Ścieki więc wypływają obficie, choć w Łodzi nie chcą tego przyjąć do wiadomości. „Nie wiem co mam zrobić, wiem tylko, że muszę płacić” – powie Jan Zieliński.

Wojskowi inaczej postrzegają rzeczywistość niż cywile. Pewne sytuacje mogą traktować jak grę wojenną. Na wojnie dopuszczalne i usprawiedliwione są różne wybiegi, fortelle i wręcz matactwa strategiczne, chodzi wszak o życie. W opisanej sytuacji chodzi o przeżycie i jest to dla Jana Zielińskiego sprawa najważniejsza. Chciałby pozostać w górach na zawsze. Nie chce wojny, tylko spokoju i jeśli konkurencji – to tylko zdrowej, twórczej. Nie może się jednak pogodzić, aż do obsesji, z tym, z czym ma do czynienia. „Miałoby już nie być rówiejszych” – mówi naiwnie i trudno z nim się nie zgodzić.

„Przywracamy blask naszemu pięknemu słowu: uczciwość” – powiedział podczas niedawnego pobytu w Polsce Wielki Autorytet, przed którym nawet armia rezygnuje z postawy zasadniczej i zgina kolana.

Marek Koprowski

Mława jest pełna fałszywych szeryfów

Prywatne miasto

Cd. ze str. 1

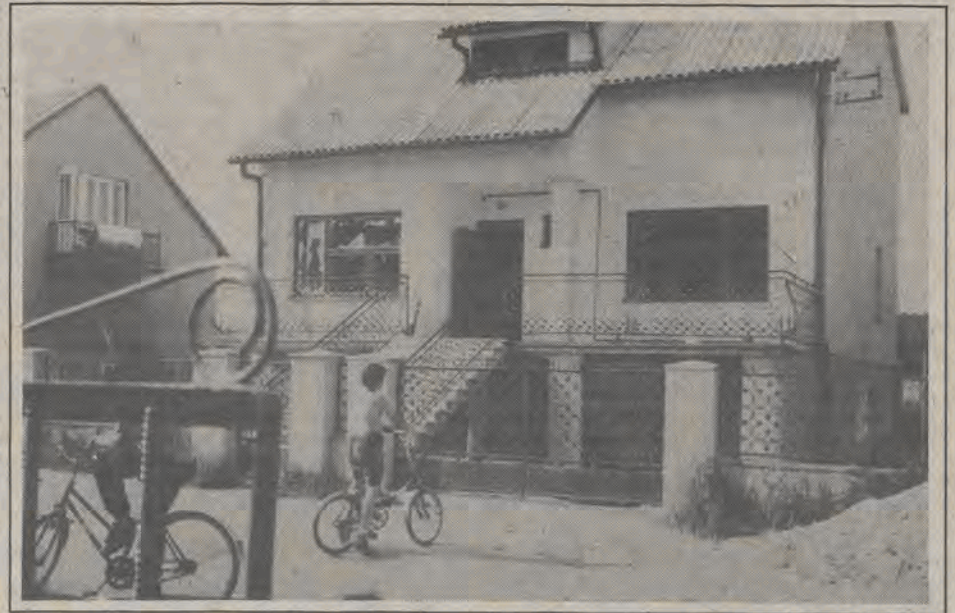
cona przez męża, wychowująca samotnie troje nieletnich dzieci. Ledwie zdążyła zbiec samochodem, drugi wóz, małego fiata, tłuszcza dostawała w swoje ręce i na nim wyładowała swój gniew.

Podobnie wygląda dom należący do kuzyna wójta. W zdemolowanym garażu połamana i przybita do ściany tablica rejestracyjna: HH 479 H.

Sąsiedzi Cyganów, Polacy, którzy sami przeżyli grozę, boją się opowiadać o wydarzeniach, zdobywają się na półsłówka i wymownie pokazują ślady zniszczeń. Między uliczkami krążą samochodowe patrole policji, podjeżdżają też prywatne auta, których pasażerowie w milczeniu patrzą na opustoszałe domostwa. Cyganie opuścili Mławę. Jedni mówią, że przenieśli się do namiotów do pobliskiego Iłowa, inni twierdzą, że koczują w strzegowskim lesie gromadząc siły i szykując się do odwetu.

Sprzedawca w sklepie spożywczo-przemysłowym obok osiedla mieszkaniowego, gdzie wstąpiłem napić się wody, zapytany o Cyganów, mówi po chwili:

– Raczej już tu nie mieszkają, bo ich nie widzę od paru dni. Wesolo z nimi było, zawsze był ruch.



Dom samotnej matki z trojgiem dzieci przy ulicy Makowej w Mławie, zdewastowany przez napastników

Ktoś stwierdza, że Cyganie z ul. Żuromińskiej szklą domy.

– Chciałby się pan nająć do pracy?
– Czemu nie. A dużo płacą?
– To pytał pan o Paćkowskiego. Jeden mieszka po prawej, drugi po lewej stronie drogi.

Dom Donata Paćkowskiego, brata cygańskiego wójta, jest skromnym parterowym osobniakiem, wciśniętym między polskie wille. Jego właściciela spotkałem na ulicy, w towarzystwie żony i szwagra. Właśnie przyjechali z Kuzna, gdzie schronili się w rodziny i teraz ze zgrozą oglądają skutki czwartkowego napadu. Paćkowski mówi dobrą, literacką polszczyzną, niemal bez naleciałości obcego akcentu, ale dławi go wzruszenie:

– Cate życie się pracowało i co teraz?

Był w Niemczech na saksach ponad dwa lata, kupił ten dom od Polaka w 1982 r., nawet nie zdążył doprowadzić wody, chociaż studnia wyszła na podwórku, używali blaszanej cysterny. Teraz ta sporych rozmiarów cysterna wyładowała w kuchni pośród rozbitej doszczętnie zastawy i mebli. Lodówka nosi ślady uderzeń siekierą, na dachu garażu ponieważ się ciśnięty tam telewizor, samochód należący do kolegi, Polaka zresztą, który przyjechał tu z Łodzi (nr rejestracyjny LCH 3022) rozbebeszony i przewrócony, straszny pogięty blachą na podwórku. Takie same ślady trudnych do opisanego zniszczeń nosi domek na zapleczu, który zajmowała dwunastoletnia cygańska sierotka.

– My jesteśmy dorośli, jakoś sobie doprowadzimy do porządku to mieszkanie – mówi żona Paćkowskiego, pałac nerwowo papierosa. – Ale jej, dlaczego jej to zrobili? Tej, która nie ma ojca, ani matki?

Sąsiad Paćkowskiego opowiada, że napad nastąpił o wpół do dwunastej wieczorem. Zrazu domostwo obrzucano kamieniami. Gdyby ktoś znajdował się w środku, pewnie nie uszedłoby z życiem. Później tłuszcza wtargnęła na podwórko i do wnętrza domu: tłuszcza kryształ, porcelanowe figurki, lustra, wszystko, co wpadło pod rękę. Cenniejszy sprzęt elektroniczny grabieżcy unieśli z sobą. Wśród napastników byli ludzie stateczni, a także kobiety.

Sąsiad Paćkowskiego stał w oknie naprzeciwko bojąc się odezwać. Jego córka przytomnie wyszła na balkon i krzyknęła, że mieszkają tu Polacy, gdyż jeden z rabusiów zabrał się już do

forsowania ich ogrodzenia. Świadek prosi o niepodawanie jego nazwiska, obawia się rozprawy. Mówi jeszcze:

– Jego matka – wskazuje Cygana – to się tu co dzień narobiła, przecież widziałem. Harowała od świtu do nocy.

Po przeciętej stronie inny cygański dom, także napadnięty w czwartek. Tłum rozbił doszczętnie ceglane słupki ogrodzenia, wtargnął do budynku rozwalając drzwi siekierą.

Gospodarzy nie było na szczęście w domu, za to najadł się strachu ich lokator. Prosi także o zatajenie nazwiska. Mieszka w dwupokojowym osobniaku od jesieni z żoną i maleńkim dzieckiem, płaci właścicielowi 300 000 miesięcznie. Nikt inny nie chciał przysięgnąć tej młodej, polskiej rodziny na dorobku, żądano od nich bająskich sum.

Czwartkowa noc pozostanie im na zawsze w pamięci. Kiedy usłyszeli zbliżający się hałas, porwali dziecko i uciekli w pole. Żoną zaopiekowali się jacyś ludzie, młody ojciec powrócił w pobliże domostwa i beznamiętnie przyglądał się pogromowi.

– Był taki huk, jakby ktoś na podwórku ustawił armatę – opowiada. – Tyle robili łomotu. Siekierami i żelaznymi drągami. Mojego miesz-

kania nie ruszyli, ale Cyganom zrobili tyle zniszczeń, że szkoda gadać. A w środku było jak w bajce.

Rozszony tłum rozpedziła dopiero policja, rzucając granaty z gazem łzawiącym. Ale najbardziej zapiekli wracali ciągle w to miejsce i kończyli to, czego nie udało się dokonać za pierwszym razem.

Mieszkańcy okolicznych domów, Polacy, nie spali przez parę nocy z rzędu, obawiając się powtórzenia ataku. Pomimo ściągnięcia posiłków szcuple sity policyjne nie pozwoliły na radykalne zaprowadzenie porządku. Dopiero zatrzymanie kilkunastu najbardziej aktywnych napastników i zmuszenie innych do codziennego meldowania się na policji, wprowadziło uspokojenie. Jest to jednak cisza przed burzą. Wszyscy uważają, że jeśli ofiara wypadku drogowego umrze, wybuch nastąpi z nową, jeszcze wyższą siłą.

Bufetowa w hotelowej kawiarni otwarcie gloryfikuje pogrom. Ma Cyganom za złe, że szpanowali. W lutym Cyganie jedli, pili, a personel mieli za nic. Ciskali w ściany skórkami od banana, latały po sali nie dojeżdżone pieczone kurczaki. Po każdej takiej uczcie walały się stopy rozbitych naczyń, szklanek.

– Cygańskiego szczeniaka stać było na pizzę i pepsi, czasem nawet taki gówniarz dwie na raz potrafił wtrząchnąć, a nasze dzieci tylko oblizwały się smakiem.

Kiedy jeszcze pracowała w „Relaksie”, gdzie czasem odbywały się cygańskie wesela, obserwowała jak Cyganie jedli, pili, a personel mieli za nic. Ciskali w ściany skórkami od banana, latały po sali nie dojeżdżone pieczone kurczaki. Po każdej takiej uczcie walały się stopy rozbitych naczyń, szklanek.

– I co? – powtarza bufetowa. – Cygan wyciągał portfel i jakby nic płacił za szkody.

Kawiarniana sprzątaczką, która przyjęła tę pracę, byle tylko nie został bezrobotną, pyta: – Pan dziennikarz? A może redaktor? No to powiem: dobrze im zrobili. Widziałam, jak jeździli samochodami, rozparci za kierownicą. Jeszcze wczoraj przejechała przez Osiedle Młodych cała karawana. Było ze dwadzieścia pięć aut, albo i więcej. A każde długie na jakieś sześć metrów.

W restauracji „Pod Kurantem” w pobliżu mławskiego ratusza, zabytkowej budowli z drugiej połowy XVIII wieku, dwaj starszokowie spożywają flaki.

- A ja ci powiem, Broniek - odezwał się jeden - że ludzie głupio zrobili. Cygany dostaną odszkodowania w PZU i nie poniosą żadnej straty, bo sobie podpisują szkód, wiadomo.

- Pewnie - przytaknął starszy pan, były partyzant, niestety nie dosłyszałem z jakiego oddziału - trzeba ich rozjeżdżać smochodami, i tyle.

- Nie, Broniek, nie - obruszył się przyjaciel - to by też nie było mądre. Lepiej jak taki Cygan zatrzyma się na skrzyżowaniu, podejść cichcem z petelką, zarzucić na szyję i kchch...

W mieście obowiązuje zakaz sprzedaży alkoholu, wydany przez burmistrza, mający więc bardziej charakter dyrektywy niż prawa, ale starannie przestrzegany. Staruszkowie nie byli podpieli.

Inżynier Marek Kowalski, wiceprzewodniczący oddziału „Solidarności” w Mławie przyznaje, że po pogromie nigdzie nie usłyszał słów potępienia. Zastrzegł się zaraz, że mówi to prywatnie, nie jako działacz związkowy. „Solidarność” wyda oficjalne oświadczenie dopiero w najbliższy wtorek, po posiedzeniu prezydium. On sam jest wstrząśnięty wydarzeniami, choć stara się także zrozumieć te niepokojące nastroje. W mieście od dawna panowało przekonanie, że Cyganie są bezkarni. Jeździł bez opamiętania po mieście strasząc przechodniów. Każdy Cygan jest najczulszą na ty z policjantem, który go zatrzymał za naruszenie przepisów drogowych. Nie ma w tym nic dziwnego, dzieci cygańskie uczęszczają do tych samych szkół, tyle że kończą na ogół edukację po czwartej klasie podstawówki. Nie było ekscesów na tle narodowościowym, ale konflikt narastał.

- Nie uważam, że rozruchy spowodowali sami Cyganie, choć ostatni wypadek przelał tylko kropelkę goryczy. Winni są przekupni urzędnicy. Niemienni Cyganie, często nieletni, jakimś cudem otrzymywali prawa jazdy, ktoś tolerował ich wybryki, chociaż strach było chodzić po ulicach. Dodam tylko, że bogaci Polacy także zachowywali się równie wyzywająco.

Burmistrz Mławy inż. Adam Chmieliński zdobywa się na samym wstępie na słowa potępienia. Zrywane, zachodnie auta noszą tu nazwę „cygańskich”, chociaż procentowo częściej takie limuzyny należą do Polaków. W rajdach wokół ratusza uczestniczyli chłopcy z bogatych rodzin, byli tam i Cyganie, i Polacy. Analizę wypadków powinni zająć się jacyś socjologowie czy psychologowie społeczni, magistrat jest tu bezradny. Ucierpieli także biedni Cyganie, mieszkańcy komunalnych domów. Ci nie mają nawet na wprawienie szyb, pozabawieni zostali ostatniej miski czy łyżki. Miasto też niewiele może im pomóc, możliwe jest tylko działanie przez organizacje charytatywne, takie jak PCK.

Zastępca burmistrza Jerzy Rakowski uzupełnia tę wypowiedź o informację, że w mieście jest zarejestrowanych ponad pięć tysięcy bezrobotnych. Szykują się kolejne zwolnienia grupowe. Władze miejskie obawiają się kolejnego wybuchu, jeśli ofiara wypadku drogowego umrze. Pogrzeb może się przekształcić w demonstrację. Rada Miejska ma świadomość, że wszyscy siedzą na beczce prochu. Trudno wskazać bezpośrednio winnych, konflikt narastał latami. Teraz nastąpiła detonacja, ludzie uczuleni są na niesprawiedliwość.

Na pomniku upamiętniającym Kościuszkę, ufundowanym przez Towarzystwo Przyjaciół Ziemi Mławskiej, z pamiątkowej tablicy krzyżem słowa Naczelnika:

„Narodzie, ziemia twoja będzie wolna, niech tylko duch twój wyższym nad wszystko będzie”.

Duch w Mławie nie uniósł się zbyt wysoko. - Chodzi o to, żeby mniejszość nie miała większych praw od większości - wytłumaczył mi taksówkarz.

„Lud” Mławy wystąpił więc w roli zbiorowego, fałszywego szeryfa.

10 maja przebywała w Mławie ekipa telewizyjnej. Dziennikarze szukali materiałów do tematu „Sprawa dla reportera”. Odwiedzili zakłady Curtis (dawniej Unitra), sfilmowali dworzec PKS, byli w biurze senatora i rejonowym biurze pracy. Wszystko tak, jak w dawnych, dobrych latach propagandy sukcesu.

Temat dla reportera czekał do 26 czerwca, był w zasięgu ręki. W Mławie, mieście prywatnej sprawiedliwości.

Konrad Frejlich

NAPRAWA SPRZĘTU RADIOKOMUNIKACYJNEGO

tel. 43-36-04 Polecamy Państwu usługi w zakresie: napraw radiotelefonów UKF, CB innych urządzeń nadawczo- odbiorczych wzmacniaczy antenowych przyrządów kontrolno- pomiarowych montażu radiotelefonów CB przeźwoźnych i stacjonarnych opracowywanie, montaż, uruchamianie sieci radiotelefonicznych UKF-FM w godz. 9.00-16.00 Roman Kulesza Łódź Nałkowskiej 5 m 70



U Karla Dedeciusa w Darmstadt.

Na przełomie maja i czerwca 1991 r. jedenastoosobowa grupa polskich bibliofilów z Warszawy, Torunia, Łodzi, Lublina, Gdańska, Krakowa i Wrocławia, na zaproszenie dra Karla Dedeciusa, twórcy i dyrektora Deutsches-Polen Institut w Darmstadt, odbyła ośmiiodniową podróż po Niemczech. Jej celem było poznanie instytucji i bibliotek gromadzących książki szczególnie piękne i zabytkowe. Łódzkich bibliofilów reprezentowali pracownik Muzeum Historii Miasta Mirosław Borusiewicz oraz autor tych

Miłość do ksiąg nas jednoczy

słów, prezes Łódzkiego Towarzystwa Przyjaciół Książki.

Sfinansowana przez Fundację Roberta Boscha podróż była praktycznym urzeczywistnieniem, zresztą jednym z wielu, kulturalnego zbliżenia niemiecko-polskiego, którego orędownikiem jest właśnie Karl Dedecius. Ten urodzony w Łodzi w 1921 r. Niemiec, doskonały znawca i tłumacz polskiej literatury, doktor honoris causa Uniwersytetu Łódzkiego i innych polskich uczelni, w czasie interesującej rozmowy w Darmstadt przypomniał nam, uczestnikom bibliofilskiej podróży, że w długiej, wspólnej historii Polaków i Niemców były okresy dobre i złe i aby w praktyce możliwe stało się porozumienie obu narodów, trzeba nawiazywać do tego, co nas w przeszłości łączyło i obecnie łączy, a nie tylko akcentować wzajemne urazy, krzywdy i pretensje.

Karl Dedecius swój wkład w popularyzację polskiej literatury w tłumaczeniach niemieckich dokumentuje imponującą serią tomów „Polnische Bibliothek” oraz różnymi inicjatywami wydawniczymi i własnymi przekładami od Biernata z Lublina poczynając a na Władzie Szybskiej, Januszu Korczaku, Zbigniewie Herbertcie, Czesławie Miłoszu, Karolu Wojtyła i Adamie Zagajewskim kończąc.

W secesyjnej willi projektowanej przez Josefa Marię Olbricha, na Wzgórzu Matyldy w Darmstadt, gdzie z woli księcia Hesji Ernsta Ludwiga w 1899 r. powstała kolonia artystów, w Niemieckim Instytucie Kultury Polskiej pracuje człowiek, któremu Niemiecka Akademia Języka i Poezji przyznała w 1967 r. nagrodę za tłumaczenia literatury polskiej z następującym uzasadnieniem: „Jego entuzjazm odkrył ponownie dla naszej świadomości nowszą literaturę polską jako składnik literatury europejskiej”. Tym człowiekiem jest dr Karl Dedecius, wielki humanista, budowniczy niemiecko-polskich dróg zbliżenia kulturalnego, który uznał, że jedną z nich może być także bibliofilstwo, bowiem w myśl starej dewizy - miłość do ksiąg nas jednoczy (amor librorum nos unit), niezależnie od granic, różnic języka oraz indywidualnych i zbiorowych doświadczeń z przeszłości.

W tym miejscu warto dodać, że z polskimi bibliofilami w Deutsches-Polen Institut spotkał się nie tylko zapraszający nas dr Karl Dedecius, ale także i nadburmistrz Darmstadt Gunther Metzger. Widać w Niemczech ranga wybitnych humanistów i docenianie organizowanych przez nich kontaktów kulturalnych są rzeczą oczywistą dla tamtejszych polityków.

Sztuka pięknej książki

W programie bibliofilskiej podróży znalazło się jako jedno z pierwszych spotkanie w Fundacji Pięknej Książki (Stiftung Buchkunst) we Frankfurcie nad Menem. Fundacja jest działem finansowym Biblioteki Niemieckiej, Zrzeszenia Drukarzy oraz rządu krajowego Hesji organizuje coroczne konkursy na najlepiej i najpiękniej wydane książki.

W 1990 r. na konkurs zgłoszono 550 książek w dziesięciu różnych grupach, między innymi literatura niemiecka, książki naukowe, podręczniki, książki dla dzieci i młodzieży, książki o sztuce, edycje kieszonkowe i bibliofilskie, z których wybrano 50 najciekawszych, a następnie jury nagrodiło trzy najlepsze. Zastosowane w nich rozwiązania redakcyjne, typograficzne, introligatorskie itp. są rekomendowane jako wzorowe i prezentowane na wystawach w całych Niemczech. Trzeba przy tym podkreślić, że wyróżnienia otrzymują nie tylko wydawca, drukarz, projektant układu typograficznego, ale także wszyscy inni, którzy przyczynili

W kolebce europejskiego druku

się do powstania nagrodzonej książki, na przykład wytwórcą papieru.

Dyrektor Wolfgang Rasch polskim bibliofilom otworzył archiwum Fundacji - mogliśmy wziąć do ręki, obejrzeć szczegółowo wszystkie wyróżnione od 1953 r. książki i westchnąć przy tym nad miserią publikacji znajdujących się w naszych księgarniach oraz brakiem tego rodzaju stałego konkursu w Polsce, który mógłby wyznaczać wysoki standard polskiej książki.

Kolejnym, niezwykle interesującym dla bibliofila miejscem było Klingspor Museum w Offenbach koło Frankfurtu. Powstałe w 1953 r. jest jednym z trzech muzeów książki w Niemczech (Lipsk, Moguncja i Offenbach), które gromadzi eksponaty ukazujące międzynarodową sztukę książki XX wieku: rozmaite kroje czcionek, ornamenty, inicjały, układy tekstów, oprawy, projekty różnych pism drukarskich.

Muzeum zbiera ponadto prace kaligraficzne, czyli książki i teksty ręcznie wykonywane przez artystów od Europy po Japonię. Kolekcję zapoczątkowały prace Rudolfa Kocha, współpracującego z odlewnią czcionek Karla i Wilhelma Klingsporów, których prywatne zbiory stały się zaczątkiem muzeum ich imienia. Obok powstałych w XX wieku ręcznie pisanych i iluminowanych ewangelarzy, utwo-

kontynuują rząd federalny oraz rząd krajowy Dolnej Saksonii wspomagane przez Fundację Volkswagena. Ten ostatni sponsor przekazał 25 milionów marek na odnowienie pałacu mieszczącego zbiory biblioteczne oraz Arsenału, w którym znajdują się centrum katalogów, pracownice oraz podręczna biblioteka licząca około 100 tysięcy tomów.

Najcenniejszymi księgami w Herzog August Bibliothek są rękopisy z biblioteki katedralnej w Hildesheim (XI-XV wiek) oraz Ewangelarz Henryka Lwa z początku XII wieku, zakupiony w 1983 r. na aukcji w londyńskiej firmie Sotheby za 32,5 miliona marek. Ten wspaniały iluminowany rękopis przechowywany jest w specjalnie zbudowanym skarbcu i pokazywany jedynie przez sześć tygodni w roku w okresie Międzynarodowych Targów Książki we Frankfurcie. Warto dodać, że znakomicie wydane w nakładzie 1000 egzemplarzy faksymile Ewangeliarza kosztuje 34 tysiące marek.

Dyrektor Herzog August Bibliothek prof. Paul Raabe, którego jednym z poprzedników był Gotthold E. Lessing, przyjął polskich bibliofilów w pięknych wnętrzach zabytkowej części biblioteki, rozjaśniając blaskiem dyskretnie podświetlonych starych opraw pergaminowych w rozmaitych odcieniach koloru kości słoniowej. Następnie po poszczególnych częściach biblioteki oprowadzali nas jego współpracownicy. Między innymi obejrzelismy zielniki i rysunki Johanna Wolfganga Goethego oraz liczącą około 800 egzemplarzy kolekcję książek-dzieł sztuki: wydanych w kilkudziesięciu egzemplarzach tek zawierających teksty literackie ozdobione oryginalnymi, sygnowanymi grafikami Salvadora Dali, Fernanda Legera, Maxa Klingera, Joana Miro, Hansa Arpa, Le Corbusiera, Georges Braque, Henri Matisse'a, Marca Chagalla i innych współczesnych artystów.

Biblioteka w Wolfenbuttel ma wiele kontaktów z Polską, przyjmuje stypendystów, organizuje staże naukowe, konferencje i wystawy. Na przełomie 1986 i 1987 r. prezentowana była duża wystawa polskiego ekslibrisu ze zbiorów Biblioteki Jagiellońskiej, której towarzyszył starannie wydany i bogato ilustrowany katalog.

W czasie naszej bytności, w zabytkowym budynku Arsenału czynna była interesująca wystawa „Przeciw cenzurze” - prezentująca historię walki z cenzurą polityczną, religijną i obyczajową od czasów najdawniejszych po współczesność oraz sposoby omijania zakazów cenzorskich. Spory segment ekspozycji zajmowały druki polskie od czasu zaborów aż po okres stanu wojennego.

Książka łączy ludzi

Ostatnim etapem bibliofilskiej podróży było Ulm nad Dunajem, gdzie w cieniu najwyższej na świecie wieży katedralnej (161,6 m) odbywało się doroczne spotkanie członków liczącego już 92 lata istnienia Towarzystwa Bibliofilów w Niemczech (Gesellschaft der Bibliophilen e. V.). Uczestniczyliśmy w dyskusji na temat „Tomasz Mann jako podmiot kolekcji bibliofilskich”, obejrzelismy wystawę niemieckich wydawnictw bibliofilskich oraz zaprezentowaliśmy wydawnictwa polskie, które wzbudziły duże zainteresowanie Niemców. Wspólnie zwiedziliśmy ciekawe Muzeum Cheba w Ulm.

Okazało się, że miłośnicy książki z Polski i Niemiec mają podobny stosunek do swych księgozbiorów oraz podobne motywacje do gromadzenia bibliotek i kolekcji bibliofilskich. A na pokazie wydawnictw oficyny Aldus-Press Reicheneck Arno Piechorowski z Reutlingen znalazł się wręcz symboliczny przykład niemiecko-polskiej współpracy bibliofilskiej. Oto wydany w 1988 r. w 150 egzemplarzach numerowanych zbior wierszy Bolesława Leśmiana zawiera teksty polskie i ich tłumaczenie na język niemiecki pióra Karla Dedeciusa, który całość opatrzył ponadto postłowem, a frontispis i układ tekstu zaprojektował bibliofil i zarazem artysta grafik Zbigniew Dolatowski z Warszawy. Z satysfakcją egzemplarz nr 102 z podpisem wydawcy włączyłem do swojego księgozbioru.

Przy okazji wspomnienia z Ulm pozwałam sobie przypomnieć rozmowę jaką w czasie wspólnej biesiady bibliofilskiej odbyłem z pastorem Walterem Remy, pochodzącym z hugonockiej rodziny francuskiej, który kolekcjonuje stare wydania biblii i który swój majątek przeznaczył dla ofiar wojny światowej w Rosji. Mówił on z przejęciem o wspólnym europejskim domu i potrzebie wzajemnego poznania się oraz zbliżenia przedstawicieli różnych narodów.

W odpowiedzi wyraziłem nadzieję, że wraz z końcem XX wieku, który przyniósł Europie niszczące wojny i nienawiść między ludźmi, kończy się okres wrogości i podziałów i że być może także my, ludzie kochający książki i piękne druki, gutenbercy z powołania i wyboru, będziemy mieć w tym swój udział. Uściskaliśmy sobie szczerze i mocno dłonie, on Niemiec po sześćdziesiątce i ja Polak, którego rodzina zaznała okropności wojny.

Wierzę, że był to symboliczny krok, tak jak i cała podróż polskich bibliofilów, w kierunku tego, o czym tak mądrze mówi dr Karl Dedecius z Darmstadt - potrzebie poszukiwania co nas Niemców i Polaków może łączyć. W czasie bibliofilskiej podróży po Niemczech takim zwornikiem była miłość do książki.

Grzegorz Matuszak

rów Goethego, Owidiusza i innych poetów, zwracając uwagę w ekspozycji muzealnej znakomite prace introligatorskie Ignatza Wiemera, ilustracje Aubreya Beardsleya, Oskara Kokoschki, Andre Deraina i innych artystów zajmujących się sztuką książki.

W mieście Gutenberga

Być w Niemczech i nie odwiedzić Muzeum Gutenberga w Moguncji, to dla bibliofila tak jak być w Rzymie i nie zobaczyć bazyliki św. Piotra. Oczywiście najbardziej spektakularny dla zwiedzających jest odtworzony w przystępny nowoczesny pawilon muzealny warsztat Johanna Gensfleisch zwanego Gutenbergem. Pracownik muzeum w stroju z XV wieku odlewa czcionki, tamponami z psiej skóry nakłada farbę na matryce i starą prasą do wytłaczania wina odbija tekst, tak jak to robił prawie 540 lat temu drukując 42-wierszową laćską Biblię sam mistrz Gutenberg.

Największe jednak wrażenie robią zgromadzone w muzeum inkunabuły, czyli książki wydrukowane przed 1500 r. Obok trzech spośród 48 zachowanych do dziś Biblii Gutenberga (jedna znajduje się w Polsce, w Muzeum Diecezjalnym w Pelplinie) wydrukowane w latach 1452-55 w nakładzie około 200 egzemplarzy, można podziwiać bogato zdobione „Psalterz moguncki” z 1457 r. oraz liczne niemieckie biblie ilustrowane ręcznie kolorowanymi drzeworytami.

W Muzeum Gutenberga, w jednym miejscu można poznać najważniejsze książki drukowane z całego świata od XV wieku aż po współczesność oraz pogłębione objaśnione techniki graficzne i typograficzne, zasady produkcji papiirusu, pergaminu i papieru, przykłady rozwiązań introligatorskich, a także różne typy maszyn drukarskich.

W czasie spotkania z panią Gertraude Behnhr, wiceprezes Gutenberg-Gesellschaft, mającego swą siedzibę w zabytkowym XVII-wiecznym pałacu, polscy bibliofile otrzymali pięknie wydane faksymile iluminowanej strony z bogatą bordiurą ze wspaniałego rękopisu „Godzinek” powstałych około 1450 r. w Paryżu znajdującego się w mogunckim muzeum. Z pokorą należą kolebce europejskiego druku ofiarowaliśmy do zbiorów Towarzystwa Gutenberga współczesne polskie wydawnictwa bibliofilskie - wśród nich znalazły się także trzy publikacje Łódzkiego Towarzystwa Przyjaciół Książki.

Nietypowa rodzina książęca

Na tle większości panujących, którzy prowadzili wojny lub na zbytki tracili fortuny, książę Brunszwiku-Luneburga August Młodszy (1579-1666) wyróżniał się zamiłowaniem do książek i rękopisów, których w swym pałacu w Wolfenbuttel zgromadził ponad 130 tysięcy, a ponadto je osobiście skatalogował. Tak powstała Herzog August Bibliothek w Wolfenbuttel, licząca obecnie około 400 tysięcy rękopisów, inkunabułów i starodruków, doskonałe znana wielu polskim uczonym księgoznawcom i humanistom, bowiem w tym niewielkim, malowniczym miasteczku niedaleko Hanoweru znajduje się cenne źródło do badania starej Europy z zakresu literatury, muzyki, historii, medycyny. W ślady księcia Augusta poszli jego następcy i sukcesorzy, na przykład jedna z księżnych Brunszwiku pobożność swoją udokumentowała zgromadzeniem liczącym ponad 3 tysiące tomów kolekcji starych biblii, a inna, gdy została wdową, zebrała ponad 25 tysięcy przemówień i kazań pogrzebowych, które zawierają cenne informacje biograficzne.

W czasie wojny biblioteka ocalała ukryta w kopalnianych sztolniach i dziś książęce dzieło

„Nigdy nie antyszambrowałem w belwederskich korytarzach”

Opera dla Bogusława Kaczyńskiego jest miłością pierwszą i jedyną. Poświęca jej życie i dla niej gotów jest zrobić wszystko. On ją po prostu wielbi. Niektórych razi bliska egzaltacji żarliwość jego uczuć. Większość z nas dostrzega w niej jednak chęć zaskarżenia dla opery jak najszerzej rzeszy wielbicieli. Świadomy nie tylko nie spotykanej wręcz siły uczucia, jakim darzy operę, ale także własnej wszechstronnej, zdobywanej latami wiedzy o przedmiocie swego uwielbienia, postanowił zostać głównym kapłanem największej z polskich operowych świątyń – dyrektorem Teatru Wielkiego w Warszawie. Podjętej przezeń walce o stanowisko dyrektora sceny, która bez wątpienia winna być pierwszą sceną operową w kraju, z gorącą życzliwością kibicowały miliony jego wielbicieli. Kaczyński nie jest bowiem fałszywie skromny i pragnienie objęcia tego stanowiska obwieścił publicznie w ciesząc się wysoką oglądalnością programach telewizyjnych. Z wielu wcześniej prowadzonych przez siebie potyczek Bogusław Kaczyński wychodził zwycięsko. Swój pierwszy bój prawdziwie wielki przegrał. Nie został dyrektorem Teatru Wielkiego w Warszawie. Jego najnowsza książka pt. „KRETOWISKO”, której pierwsze wydanie w nakładzie 100.000 egzemplarzy już wkrótce ukaze się na rynku, jest pasjonującym zapisem tej walki, prowadzonej przez Kaczyńskiego z otwartą przyłbicą.

– Te książkę-dziennik otwiera data 2 stycznia (dzień, w którym ogłoszono wiadomość o rezygnacji dyrektora Roberta Satanowskiego), zamyka zaś dzień 20 maja – data, kiedy dowiedziałem się, iż z propozycją objęcia funkcji dyrektora stołecznego Teatru Wielkiego zwrócono się do Sławomira Pietrasa i że Sławomir Pietras proponuje tę przyjąć.

– Czy książka, którą oddaje pan do rąk czytelników jest także oceną przebiegu tej walki? Czy komentuje pan kolejne jej etapy, ocenia siły i środki?

– Ocenę pozostawiam czytelnikowi i już dziś zapewniam go, że nie komentuję niczego, a mimo to ręczę, iż lektura KRETOWISKA będzie pasjonująca. Nie zawiera ono ocen ani komentarzy, ale wnikliwy czytelnik znajdzie w nim sporo moich refleksji, których charakter mam prawo określić mianem filozoficznego. Zrozumiałem bowiem wiele aspektów filozofii władzy i myślenia: o najżywniejszych interesach polskiej kultury.

– Dziś ma pan zapewne inne spojrzenie na przebieg stołecznej przez siebie bitwy.

– Gdyby przyszło toczyć, ją ponownie pewnie czyniłbym to tak samo, choć być może byłbym nieco ostrożniejszy, może mniej otwarty... ale czy walczyć nie o cel, a o sprawę można nie być szczerym... Zadeklarowaną otwarcie chęcią kierownia warszawskim Teatrem Wielkim zburzyłem uświęcony zarówno wieloletnią, jak i najnowszą tradycją mit, czy też raczej obyczaj rzekomej w gruncie rzeczy skromności. Tej fałszywej skromności, która objawia się różnymi minoderyjnymi zachowaniami ludzi każących prosić się niemal na kłęczkach o objęcie stanowisk, na które mają nieprzewartą wręcz ochotę, ów nieposkromiony apetyt dyktujący im posunięcia na ogół niezbyt czyste choć nader skuteczne. Zastanówmy się przez chwilę jak dalece, aż do wrażenia martyrologii i nadludzkiego poświęcenia, nikt nie pragnie u nas niczego, gdy w istocie wszyscy pragną wszystkiego tak usilnie, że w końcu to pragnienie staje się celem i sposobem, istotą życia, co najlepiej odzwierciedla opowiadana przez Jacka Federowicza arcyzabawna humoreska o pewnym mieszkańcu północnego regionu naszego kraju, który tak usilnie odżegnywał się od myśli o bardzo wysokim centralnym awansie, że trzeba było go eskortą przywieźć go do stolicy, by nie cofnął się w pół drogi, a gdy już przywieziono go pod bramę najważniejszego w tym kraju gmachu, to wywlekającym go z samochodu „konwojentom” opierał się z taką siłą, że aż urwał klamkę u samochodowych

drzwiczek. Ja zaś w nie skrywanym pragnieniu kierowania warszawskim Teatrem Wielkim nie tylko żadnej klamki nie urwałem, ale też u żadnej nie wisiałem i nigdy żadnej czepiać się nie będę, podobnie jak – o co pomawiają mnie złośliwi – nigdy nie antyszambrowałem w belwederskich korytarzach i z takim celem w bliźszej ani w najdalszej nawet przyszłości się tam nie wybieram. Przy okazji po raz nie wiadomo już który zdementować pragnę uporczywą plotkę jakoby był „trzecim bliźniakiem”. Nie jestem!!! Wróćmy jednak do sedna sprawy. Tak! Chciałem być dyrektorem tej sceny! Chciałem. bo wiem nie tylko to, jak powinna ona wyglądać, jaką powinna być, ale także – jak nadać jej prawdziwie europejską renomę godną najświetniejszej choć niestety tak odległej, że niemal całkowicie zapomnianej tradycji. Ja nie tylko wiem jak to zrobić. Ja bym to zrobić w krótkim czasie potrafił!

Będę czekać

rozmowa z Bogusławem Kaczyńskim



– Skąd czerpie pan tę pewność? Wszak nigdy nie kierował pan teatrem operowym.

– Ręczę słowem honoru, a honor jest dla mnie wartością najcenniejszą, że pewności tej nie podpowiada mi jedynie intuicja. Wiem, że sztuka kierowania wielką instytucją artystyczną jest niezwykle trudna, ale znam jej arkaną. Ja się tej sztuce bardzo pilnie uczyłem, czyniąc to w najlepszych szkołach jako dwukrotny student nowojorskiej Metropolitan, londyńskiej Covent Garden i mediolańskiej La Scali. Spędziłem w tych wspaniałych teatrach wiele miesięcy nie tylko po to, by podziwiać prezentowane na ich scenach genialne spektakle, lecz przede wszystkim po to, by bacznie obserwować funkcjonowanie mechanizmów utrzymujących je w tak doskonałej kondycji artystycznej. Liczna grupa solistów warszawskiego Teatru Wielkiego, która z propozycją kierowania ich sceną zwróciła się do mnie w styczniu bieżącego roku, nie pomyliła się w adresie. Skierowała ją bowiem do człowieka będącego wyso-

ko wykształconym muzykiem, entuzjastą uprawianej przez nich sztuki, twórcą i doświadczonym menedżerem imprez i festiwali muzycznych o międzynarodowym rozgłosie, wielbicielem prawdziwych talentów szczerzącym się przyjaźnią z gwiazdami światowej wokalistyki, dyrygentury, reżyserii, choreografii i scenografii oraz ludźmi-instytucjami gotowymi dla niego sponsorować i znacząco partycypować w finansowaniu wielu prawdziwie ambitnych i wysoce artystycznych przedsięwzięć. To nie naiwność, ale wiedza o mechanizmach, harmonogramach pracy teatrów operowych, o tym, z jakim wyprzedzeniem trzeba biegać o realizatorów i kompletować całe ich zespoły, kazała mi – nie czekając na rozwiązanie kwestii obsady stanowiska dyrektora w warszawskim Teatrze Wielkim – rozpocząć pertraktacje i pracę nad artystyczną w nim obecnością Franco Zeffirellego, Zubina Mehty, Seji Ozawy, Fedory Barbieri, Ricarda Mutti. Z całą pewnością nie odmówiliby mi współpracy tacy reżyserzy jak Roman Polański, z którym kontaktowałem się już via Londyn, czy tacy genialni polscy dyrygenci jak Kazimierz Kord czy Jerzy Semkow bądź Tadeusz Strugała...

– Wszystko to brzmi wprost nieprawdopodobnie...

– Moje wykształcenie i kompetencje zawodową potwierdzają „stosowne” dyplomy i dorobek całego życia, które bez reszty poświęcałem operze, a w informacji o osobistych przyjaźniach kontaktach z gwiazdami gotowymi wspierać mnie swym talentem nie ma cienia brawury. Taka jest prawda! Los hojnie obdarzył mnie ich życzliwością, z której jestem dumny, a na którą – czego ta przyjaźń jest dowodem – najwyraźniej sobie zasłużyłem czy też raczej zapracowałem i którą wykorzystuję przede wszystkim dla publicznego dobra, choć byłbym nieszczerzy ukrywając uczucie wielkiej osobistej satysfakcji z owej przyjaźni.

– Propozycja, jaką złożyli panu warszawscy soliści, była więc zapewne następną porcją owej satysfakcji osobistej?

– Propozycja ta wychodziła naprzeciw moim marzeniom. Usatysfakcjonowała mnie więc bardzo. Moje osobiste marzenie da się sprowadzić do gorącego pragnienia, by Teatr Wielki dziś będący jedynie wielką samodzielną funkcjonującą manufakturą, w której marne spektakle są tylko produktem ubocznym, stał się godną swego miana, miejsca i historii wspaniałą sceną operową dostarczającą publiczności największych przeżyć i emocji artystycznych.

– Los nie okazał się laskawy dla pańskiej osoby...

– Los?! Nie, proszę pani, to nieprawda! Wręcz przeciwnie! Los dał mi szansę! Ludzie mi ją odebrali, a ściślej mówiąc nie dali mi nawet cienia szansy! Nie oskarżam ich bezpodstawnie. Nie oskarżam ich w ogóle. W „Kretowisku” ujawniam tylko ich sposoby myślenia, a raczej ich bezmyślność, ich sposób działania, ich uporczywą, maniacką wręcz zaskorupiałość, stare schematy betonowo zastępych struktur i metod. Miałość charakterów, postaw i zachowań. Czytelnik „Kretowiska” znajdzie w mojej książce kopie listów, wypowiedzi, dokumentów i publikacji prasowych, przedruki wywiadów i stenogramy rozmów. Będzie mógł porównać opinie tak życzliwych mi ludzi, którzy wraz ze mną ubolewali publicznie nad faktem pozbawienia mnie szansy, jak profesor Ewa Łętowska (która jest nie tylko rzecznikiem praw obywatelskich i wybitną uczonką, lecz także wielkim autorytetem w dziedzinie sztuki operowej, której piękno wraz z mężem przez wiele lat prezentowała słuchaczom Polskiego Radia) i profesor Witold Rudziński (kompozytor, dyrygent i subtelny krytyk muzyczny) z opiniami tak niezyczliwymi a opartymi przy tym na plotce i pomówieniu, jak ta, którą wydał mi Ludwik Erhardt, redaktor najnudniejszego na świecie pisma, jakim jest „Ruch Muzyczny”, człowiek, z którym spotkałem się raz w życiu w... windzie chicagowskiego hotelu „Bis-

mark”, gdy czternaście lat temu gościłem tam z okazji premiery jednej z oper Krzysztofa Pendereckiego. Moja książka z całą pewnością poruszy także nasze środowisko artystyczne. Jestem pewien, że kłęska, którą poniosłem w walce o teatr przyniesie mi za jej sprawą moralne zwycięstwo. Opublikowałem ją, by oczyścić się z pomówień i potwarzy, by raz na zawsze zamknąć usta plotkarzom, sztyderkom, cynikom, gorliwym uczestnikom kapturowych sądów, samozwańczym mędrcem i fałszywym autorytetom najnieśluszej przekonany, iż posiadli patent na rację, mądrość i nieomyślność. Przegrałem w walce z wielkimi gospodarzami urzędniczych gabinetów i – pozał się Boże – ministerialnych salonów. Wygrałem w oczach setek tysięcy ludzi wspierających mnie swą sympatią i uznaniem.

– KRETOWISKO... Czemu taki właśnie tytuł nadał pan swej książce, w której opisuje pan ów przegrany bój?

– Nawet teraz dochodzę do wniosku, że nie powinienem używać słowa „przegraną”. Ja nie przegrałem, bo nie poddałem się, nie położyłem mnie na obie łopatki, bo położył się nie dam. Szczerze gratuluję awansu Sławkowi Pietrasowi, z którym łączy mnie i nadal łączyć będzie wieloletnia przyjaźń. Najgorzej życzę mu wielu sukcesów i nie tracę nadziei, że razem świętować będziemy udane premiery jego kadencji. Nie tracę też nadziei, że tak wypróbowanych przyjaciół los, na którego łaskawość nie narzekam, w równej mierze obdarzy szansami spełnienia największych marzeń. Ja nie przegrałem, ja się potknąłem i wychodząc z takiej właśnie interpretacji mojego „przypadku” zatytułowałem swą książkę, bo – jak mówi Konfucjusz, ów niedościgniony geniusz mądrości – „ludzie nie przewracają się o góry, ludzie potykają się o małe kretowiska”. Małym kretowiskiem okazało się nasze ministerstwo. Kilka małych kretowisk szpeci pejzaż naszego środowiska operowego i muzycznego. Nie widząc niczego, a więc także wymagań, jakie nadchodząca przyszłość stawia dziś przed teatrem operowym, ślepe krety wciąż trąją pod gmachem całej naszej kultury. O te kretowiska potykamy się i... idziemy dalej.

– Krety są tyleż ślepe co lekkie. Te które zagnieździły się dawno temu w stołecznej operze mogły więc przestraszyć się pana osoby i planów?

– Być może popełniłem grzech niecierpliwości mówiąc otwarcie co zrobię, gdy zostanę dyrektorem...

– Można więc sobie wyobrazić, iż wielu poczuło wielkie zagrożenie.

– Jestem tak wielkim miłośnikiem prawdziwie wielkich wokalnych i baletowych talentów, iż szczerze obdarzeni nimi ludzie z pewnością nie poczuły zagrożenia. Rzesza zaludniająca korytarze Teatru Wielkiego antytalentów i zbędnych w sprawnym funkcjonowaniu tej instytucji biuralistów nie myliła się w swych odczuciach.

– Powiedział pan „potykamy się i... idziemy dalej”. Czym po owym „potknięciu” będzie się pan teraz zajmował?

– Nie mam jeszcze pięćdziesięciu lat, zdrowiem i wzrokiem dzięki Bogu cieszę się do brym, więc drogę, którą rozpacz swych wrogów, widzę przed sobą jasną i długą. Będę więc zmierzał po niej konsekwentnie oddając hold sztuce operowej, realizując telewizyjne programy i festiwale, pisząc książki, a nie czekając na cudze potknięcia i dalebóg nikomu ich nie życzę, będę kierował się w swym życiu dewizą Charliego Chaplina. Ten wielki komik, który potrafił wruszać do łez, powiedział kiedyś: „Życie jest najlepszym reżyserem, bo samo dopisuje zakończenia”. Muszę więc cierpliwie nauczyć się czekać. Czekając będę nadal wytrwale pracować. Lada dzień nastąpi rejestracja stworzonej przeze mnie fundacji artystycznej, jesienią ukaze się nowy periodyk muzyczny, którego redakcję właśnie kompletuję i który będzie bardzo atrakcyjnym, eleganckim, wysoce nakładowym pismem, jakiego nie ma na naszym rynku. Proszę życzyć mi powodzenia w realizacji tych przedsięwzięć.

– Życzę go panu z całego serca i serdecznie dziękuję za rozmowę.

rozmawiała:
Ewa Pankiewicz

Plastyka

Po raz siódmy odbywa się w Łodzi międzynarodowa wystawa „Małe Formy Grafiki” organizowana przez Biuro Wystaw Artystycznych. Na zaproszenie do udziału w ekspozycji odpowiedziało 586 artystów z całego świata nadsyłając 2190 prac. Jury pod przewodnictwem Kunito Nagaoki, japońskiego grafika na stałe mieszkającego w Berlinie, zakwalifikowało na wystawę 1200 prac 279 autorów i przyznało 10 honorowych medali. Otrzymał je: Gabriel Belgeonne (Belgia; po raz drugi), Richard Bilan (Francja), Konstantin Czmutin (ZSRR), Krystyna Hierowska (Polska; po raz drugi), Yuji Hiratsuka (Japonia), Vittorio Manno (Włochy), Tadeusz Siara (Polska), Denis Steen (Szwecja), Shigeki Tomura (Japonia; po raz drugi) i Maria Wąsowska (Polska).

Na wystawie można zobaczyć prace należące do różnych kierunków i tendencji artystycznych, od realistycznych portretów przez rozmaicie ujmowany obraz świata aż do abstrakcyjnych kompozycji geometrycznych i igraszkami z op-artu. Tegoroczne „Małe Formy Grafiki” wyróżniają się wyrównanym poziomem artystycznym, choć wydaje się, że zabra-

kło nowych indywidualności tej miary, co przed kilku laty Wiesław Szamocki, Igor Podolczak, Aleksander Aksinin czy Małgorzata Zurakowska.

W miniaturze graficznej nadal przeważają szlachetne techniki metalowe, świadczy o tym choćby fakt, że spośród dziesięciu laureatów dziewięć tworzy swoje prace w technice akwaforty, akwatynty, mezzotinty, suchej igły. Z

Graficzne miniatury

nowinek formalnych można odnotować zainteresowanie wielu autorów papierem: niektórzy z nich sami robią papier czerpany, inni preparują go, łącząc różne gatunki, nawiązując do tradycji kolażu.

– Jako wieloletni komisarz „Małych Form” – mówi Michał Kuna – dostrzegam pewne zjawisko, które odbiło się na naszej wystawie – inflacja imprez o charakterze międzynarodowym. W związku z tym, że artyści są zbyt często zrywani do udziału w różnych ekspozycjach, powstaje w nich naturalny odruch oporu. Bar-

dzo wybitni twórcy swoje związki lokują raczej w indywidualnych wystawach i prywatnych galeriach.

Warto podkreślić, że udział w łódzkiej wystawie nobilituje szczególnie młodych twórców, a prezentacja prac wspólnie z artystami tej miary co Stanisław Fijałkowski, Leszek Różga czy Albin Brunovsky może być powodem dodatkowej satysfakcji. Daje się dostrzec cie-

kawę zjawisko, że wielu autorów robi grafiki „pod wystawę”, czasami można nawet odnieść wrażenie pewnej wtórności wobec prac uznanych twórców. Poprzez „Małe Formy Grafiki” wielu uczestników łódzkiej ekspozycji znalazło drogę do wielkich salonów sztuki i galerii, a polscy miłośnicy kameralnej grafiki mają co dwa lata okazję poznania najciekawszych dokonań.

Łódzka wystawa zasługuje na miano wyjątkowej jeszcze z jednego powodu – od 1979 r. mimo rozmaitych trudności i przeszkód, ostat-

nio przede wszystkim finansowych, regularnie, w rytmie biennale, zawsze w czerwcu ma miejsce liczący się przegląd graficznych miniatur, któremu towarzyszą starannie wydany katalog oraz indywidualne wystawy wybitnych artystów. W tym roku obok wystawy głównej (Galeria Sztuki BWA) można podziwiać grafiki Assadoura (Galeria Bałucka), Maksymiliana Snocha (Galeria '78), Antonii Vili i Rosy Taruelli (Galeria Łódzka MHML), plakaty Stasy Eidgeviciusa (Galeria Łódzka MHML), monotypie Andrzeja Bartzaka (Ośrodek Propagandy Sztuki) oraz rysunki i gwasze Andrzeja Smoczyńskiego (Galeria '86).

Tradycyjnie „Małym Formom Grafiki” towarzyszy aukcja prowadzona przez Wojciecha Siemionę, na której można nabyć prace artystów uczestniczących w wystawie. W tym roku najwyższą licytowano grafiki Konstantina Czmutina (390 tys. zł przy cenie wywoławczej 50 tys.), Ryszarda Hungera (330 tys.) i Jerzego Grabowskiego (300 tys.). Poza tym na aukcji znalazła się okazała teka „Styl i warsztat” zawierająca prace 10 łódzkich artystów, m.in. A. Bartzaka, S. Fijałkowskiego, L. Różgi, A. Starczewskiego. Wylicytował ją za 3.600.000 zł Wojciech Grochowalski, człowiek biznesu, który także lubi i ceni sztukę.

Monika Matuszak



Podszuchane Podpatrzone Odnutowane

Za kulisami estrady

Pazerność nie popłaca!

IRENA SANTOR zakończyła swoją 40-letnią karierę piosenkarską. Wiadomo, że piosenkarskie kariery trwają w większości przypadków niebyst długo i tylko jednostkom udaje się z powodzeniem i w formie dośpiewać wymagane prawie lata do emerytury. Takim wyjątkiem jest Irena Wiśniewska-Korpołewska, z pierwszego męża (byłego skrzypka w orkiestrze Stefana Rachonia) znana jako Irena Santor. (Ślub odbył się w 1959 roku).

W Warszawskiej Sali Kongresowej odbył się pożegnalny koncert 57-letniej piosenkarki (urodzona 9 grudnia 1934 roku w Papowie Biskupim, później mieszkająca w Solcu Kujawskim, absolwentka Technikum Szklanego Zdobnictwa w Polanicy Zdroju) z 8-letnim stażem solistki w Państwowym Zespole Pieśni i Tańca „Mazowsze”. Niestety – była to – jak podaje gazeta muzyczna „Brawo! Iest” – „smutna stypa”, a gwiazda musiała pełnić rolę gospodyni, chociaż nie był to przecież pogrzeb.

Ktoś spletał brzydkiego figla pani Irenie, bo zupełnie inaczej miał wyglądać ten uroczy wieczór. Jak się okazało, autor scenariusza i reżyser całości Zbigniew Korpołewski, zupełnie niepotrzebnie postawił na gości, którzy zjawili (choć przybyli: Geppert, Banaszak, Rynkowski, Wodecki) bo stworzyli jeszcze jedną chociaż odświętną składankę estradową, do czego zresztą byli przyzwyczajeni od lat i nie ma się czemu dziwić. Pan Korpołewski to typowy przedstawiciel radosnej twórczości lumi-



narzy polskiej rozrywki, nie miał oryginalnego pomysłu na pożegnalny koncert własnej żony, której recitale prowadził przez wiele lat. „Ogromne przygnębienie i smutek” – jak pisze „Brawo! Iest” – udało się rozładować jedynie Janowi Kobuszewskiemu

songiem o „dziwkach”, które calują zmysłowo, a taka jedna rwała nawet złoty ząb.

Irena Santor odbyła tournée ze swoim nieudanym koncertem pożegnalnym, chociaż w znacznym uszczuplonym gronie współwykonawców i zgnała się z publicznością bez końca, ku jej szczeremu zdziwieniu, bo fragmenty koncertu warszawskiego pokazano w telewizji. W Łodzi też była. Bilety sprzedawano z trudem... Ostatni akord miał mieć miejsce podczas tegorocznego FPP w Opolu i z pewnością był to wprost idealny finał na zakończenie tak długiej kariery popularnej piosenkarki, choć od dawna emerytowanej.

Niestety, słynna w środowisku pazerność na pieniądze (swego czasu krążyły legendy na temat wysokości emerytury Santor) a także przeliczenie się co do oddziaływania magii nazwiska „Santor” przez przedsiębiorczego małżonka (obecnie dyrektora Teatru „Syrena” w Warszawie. Oj, biedna, biedna, ta „Syrena”) spowodowały swoisty szok w branży, kiedy to oficjalnie oznajmiono, że Irena Santor w Opolu nie wystąpi, ponieważ nie sprzedano biletów na jej koncert.

Jak się dowiadujemy, nie sprzedano, bo ceny biletów były zbyt wygórowane (od 25 do 60 tysięcy złotych), a honoraria wykonawców horrendalnie wysokie!

Osobiście współczuję Irenie Korpołewskiej, bo nie mogło jej spotkać u schyłku kariery nic bardziej przykrego niż odwrócenie się publiczności od lubianej przecież piosenkarki. Publiczność po raz pierwszy w przypadku Santor zmanifestowała swój protest i może nie tyle przeciwko zasłużonej piosenkarsce, ile przeciwko estradowej chałturze i cwaniactwu organizatorów podobnych koncertów jubileuszowych.

Irena Santor w stolicy polskiej piosenki – odmówiono. Kierownictwo festiwalu, aby jakoś ratować honor gwiazdy – zaprosiło ją do udziału w koncercie „Magazynu Rytm”, a po walnej naradzie przyznało Grand Prix za przepracowane 40 lat na estradzie, bo z tymi wybitnymi osiągnięciami w sztuce interpretacji Ireny Santor to różnie bywało.

Ale Santor wysoko siebie ceni i odmówiła śpiewania w koncercie finałowym „Mikrofon i ekran” i z trudem dała się przełagać do wyjścia na estradę po odbiór nagrody. Osobiście Grand Prix „Opola 91” przyznalby Stanisław Borsowski, który zdystansował panią Santor i wszystkich innych wykonawców. Rewelacyjny i niepowtarzalny.

Redaguje:
Bohdan Gadomski

VIDEOPLASTIKON



W służbie FBI – Przeciwno dwóm tajemniczym mordercom, siejącym postrach wśród ludności amerykańskiego miasta zmobilizowano oprócz policji również funkcjonariuszy FBI. Ci ostatni doprowadzają właśnie do osaczenia poszukiwanych – i do „największej strzelaniny w dziejach FBI”. Bardzo dobrze zrobiony film sensacyjny, godny polecenia amatorom mocnych wrażeń.

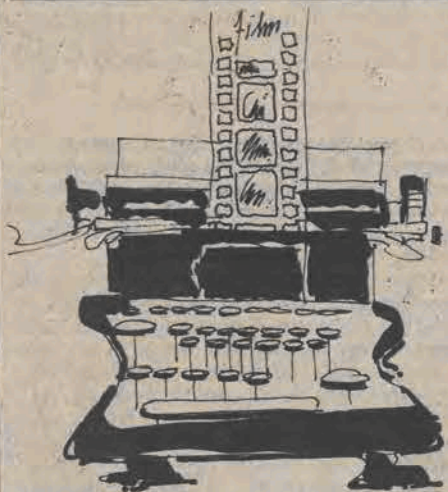
The Heroes of the Sky (Bohaterowie nieba) – Chiny, rok 1937. Samotna chińska jednostka lotnicza toczy dramatyczny bój z przeważającymi siłami lotniczymi Japonii – broniąc Nankinu i Szanghaju. Warta akcja i sporo pięknie sfilmowanych powietrznych walk – oto główne atuty tego filmu.

Lisy pustyni – II wojna światowa, Afryka. Z obozu jenieckiego, zlokalizowanego obok jednostki niemieckiego „Afrika Korps”, ucieka kilku alianckich żołnierzy. Podejmują oni desperacką próbę przedarcia się przez pustynię i dotarcia do swoich. Mimo interesującego tematu i pięknych zdjęć film przynosi jednak pewien niedosyt, spowodowany brakami fabuły.

Nico – Amerykański senator, będący równocześnie jednym z narkotykowych bossów, przygotowuje – wraz z chemikiem-maniakiem – szalenie plan zniszczenia Chicago. Do walki przeciw nim wkracza jednak Nico – policjant, dla którego prawo jest wartością najwyższą. Bardzo sprawnie zrealizowany film sensacyjny, przy oglądaniu którego nie można się nudzić.

Marek Stypaniak

Narodziny kina w Łodzi (3)



W Łodzi kino znalazło podatny grunt dla swego rozwoju. Inteligencja, która w wielu miastach odsunęła się od kina, dając swym postępowaniem przykład i zachętę dla innych, w „złym mieście” nie odegrała w tym czasie większej roli.

Kiedy w końcu 1899 r. Władysław Krzemiński zdecydował się na otwarcie samodzielnego przedsiębiorstwa nastawionego wyłącznie na wyświetlanie filmów, miał już za sobą lata praktyki i doświadczeń. Potrafił obsługiwać projektor filmowy, orientował się w aktualnej produkcji obrazów, znał również reakcje widzów i przez cały czas projekcji w Gabinetie Iluzji (Piotrkowska 17) w latach 1896-1899 zdążył zauważyć ich ogólne zainteresowanie dla nowego wynalazku. Jego decyzja o uchiomieniu kinematografu pozbawiona była prawie zupełnie ryzyka, stała za nią doświadczenie zdobyte latami praktyki zarówno w obcowaniu z łodzianami jako widzami, jak i całym ówczesnym zapleczem filmowym.

Kino to powstało w grudniu 1899 r., a otwarte zostało w pomieszczeniu dawniej restauracji Adolfa Fiszera przy ul. Piotrkowskiej 120. Kinematograf ten, kilkakrotnie zmieniając miejsce swego pobytu zapoczątkował nową erę w łódzkich dziejach filmowych. Dość szybko, bo już w 1900 r. przeniósł się na Nowy Rynek 2 (plac Wolności) do domu Leinwerba, w którym mieściła się również apteka. Uruchamiając kino zakupił W. Krzemiński w Berlinie, wraz z aparatem kinematograficznym produkcję Lumiere, 30 filmów francuskich. Długość każdego z nich wahała się od 7 do 30 m., czyli 1-3 min. projekcji, nic więc dziwnego, że aby zapewnić 50 minutowe przedstawienie należało wypełnić je nie tylko samymi ruchomymi obrazami. Dodatkowe atrakcje były najczęściej pokazami latarni magicznej, które w tym czasie przybierały różne nazwy: „Mia Mara”, „Kameleon”, „Dafnis”. Program początkowo zmieniany był raz tygodniowo, potem nawet trzy razy. Zależało to od ilości posiadanych filmów. Właściciel osobiście jeździł do firm i tam dokonywał zakupu kopii. System ten był i uciążliwy, i drogi. Władysław Krzemiński wraz z bratem kilkakrotnie byli w Paryżu, później jednak przerzu-

cili się na Berlin jako bliższy, a przez to tańszy.

Dodatkową trudnością przy prowadzeniu iluzjonu był brak elektryczności. Wobec tego pokazywanie filmów musiało się odbywać przy świetle sztucznym tzw. Drummoda, które było bardzo prymitywne, w związku z czym ekran drgał falą przebiegów świetlnych utrzymanych w tonacji szarej. Nie odstraszało to jednak widzów – wręcz przeciwnie. Brak porównań i innych możliwości powodował, że nowym wynalazkiem zachwycono się bez względu na jego jakość techniczną. Wystarczyło, że publiczność widziała ruch na ekranie. A gdy do tego dołączyły się opowiadki fabularne podziwom nie było końca. Łodzianie w kinie W. Krzemińskiego zwanym „Bioskopem” oglądali same światowe nowości, a więc filmy braci Lumiere m.in. „Przyjazd

duża tuba, ludzie znoszą prosiaki, psy, koty, wrzucają je do tuby, z drugiej strony wychodzą wspaniałe serdelki...”

Kino w Łodzi funkcjonowało w miesiącach jesienno-zimowych i wiosennych. Latem bracia Krzemińscy udawali się w objazd do Częstochowy, Radomia a także do Rosji. Zawsze jednak wracali do Łodzi. Panował wówczas w mieście zwyczaj, że każde przedsiębiorstwo rozrywkowe musiało postawić przed wejściem tzw. informatora; obowiązkiem którego było wyjaśniać publiczności co zobaczy po zapłaceniu 20 kop. Informator postawiony przed „Biografem”, bo taką nazwę nosiło jesienią 1900 r. kino, musiał orientować się szybko w odpowiedzi, żeby nie narażać się na śmieszność. Objasnienia te odbywały się w j. polskim, chociaż od cza-

cim kabina. Porządek miejsc był taki jak na przedstawieniach teatralnych, tzw. pierwsze miejsca liczyły się od ekranu i były droższe a ostatnie rzędy najtańsze. Brak adaptacji w wynajmowanych na krótko kolejnych lokalach doprowadzał niekiedy i do takich sytuacji, że publiczność po skończonym seansie musiała wychodzić oknem, „co odbywało się bardzo szybko, bez żadnych pretensji do nas”. Kino to otrzymało nazwę „Teatr Żywych Fotografii”. Wejście kosztowało 10 kop., krzesło 20 kop., dzieci płaciły połowę. Przedstawienia odbywały się od 12.00 do 22.00 (co godzinę). Niekiedy bywały również specjalne przedstawienia dla panów o 23.00, gdzie zgromadzeni mężczyźni z wypiekami na twarzy mogli ujrzeć na ekranie bieliznę aktorki, która grała służącą, hrabinę czy kokotę.

Publiczność wychodziła oknem

W 1900 r. na ekran wkroczył triumfalnie Georges Melies. Jego obrazy zyskały ogromną popularność. I nic dziwnego. Ten mag ekranu wyczarował przed oczami zdumionych widzów niesamowite sceny pełne grozy, napięcia i nieoczekiwanych pomysłów. Wprowadzał do filmu motywy znanych baśni i legend i przetwarzał je w fantazję godną dzisiejszego Spielberga. Do najbardziej interesujących filmów Melies'a należały „Kopciuszek”, „Noc gwiazdkowa”, „Tajemnicza grotka”, „Czarodziejska kuchnia” i „Podróż na księżyc”. Same tytuły mówią o treści.

W dużym wyborze prezentowane były również filmy Societe Pathe i związanych z nią reżyserów. W ożywianiu niektórych historii z muzeum figur woskowych specjalizował się Ferdynand Zecca. Tak powstała „Historia pewnej zbrodni” wyświetlana w 1901 r. i „Życie szulera”, które pod nazwą „Życie gracza” pokazywane było w 1903 r. Obraz Jamesa Williamsa pt.: „Naped na misję w Chinach” opierał się na wzmiance prasowej, reklamowany był jako „zdjęcie autentyczne”.

Nieprzebrane możliwości dało sięgniecie do literatury. Już w 1901 r. oglądali widzowie sceny z powieści H. Sienkiewicza „Quo vadis” w reżyserii Lucien Nonquette. Powieść ta była później jeszcze wielokrotnie adaptowana.

W 1902 r. pokazywano w Łodzi „Ofiary alkoholizmu”, w którym reżyser F. Zecca wykorzystał jako scenariusz reformy fragmenty powieści Emila Zoli „W matni”. Film reklamowany był także jako „Nieszczęsne skutki pijaństwa – dramat rodziny z życia fabrycznego”. Zupełnie sporadycznie zdarzały się filmy rodzime. W 1902 r. wyświetlano obraz Kazimierza Prószyńskiego pt.: „Ruch uliczny przed posągiem Mickiewicza” i „Mazur na cztery pary”. Filmy te podawano w prasie jedynie za pomocą tytułów, nie informowano potencjalnych widzów o produkcji i nazwiskach reżyserów.

Szalenie podobały się łódzkim widzom obrazy sensacyjne. Treść jednego z nich pt.: „Chińska wędliniarnia” przytoczono we wspomnieniach: „stoi maszyna z kręcącym się kółkiem, na wierzchu jest

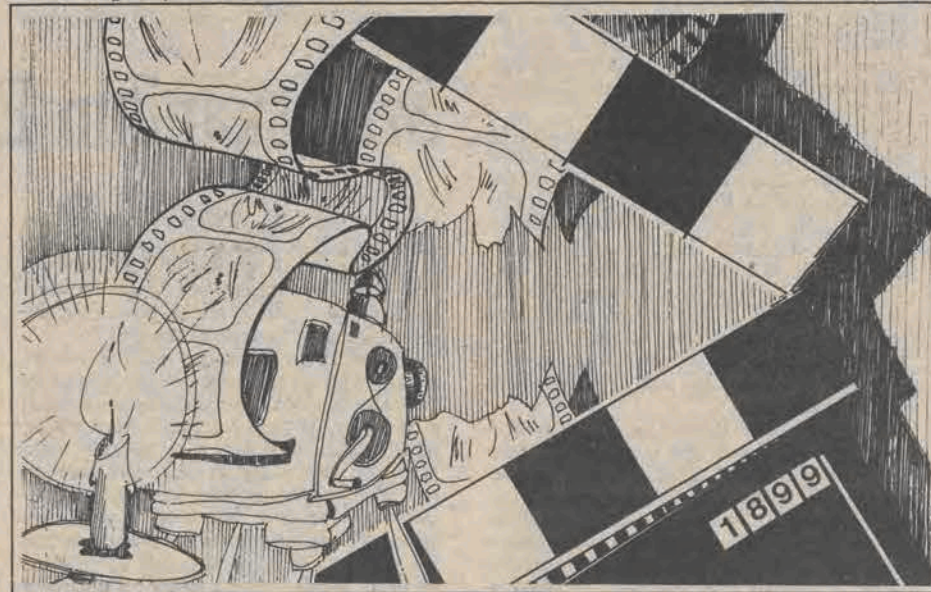
su do czasu żądano rozmowy w j. niemieckim.”

Reklama kinematografu odbywała się głównie poprzez afisze programy i ulotki. Program każdego dnia umieszczano przy wejściu do kina. Afisze rozklejano po mieście i roznoszono po sklepach. Wiatrówki z treścią wyświetlanych filmów rozdawane były wychodzącym z fabryk robotnikom – jak przekazują wspomnienia, w ilości 50 tys. tygodniowo.

W 1901 r. zakontraktowano nowy lokal na Nowym Rynku 4, obok cukierni Konrada. Kino składało się z 3 dużych pokoi. W jednym z nich od fontu było wejście, kasa oraz poczekalnia, a w niej ustawiono stereoskopy do oglądania, aby publiczność nie nudziła się czekając na następny seans. W drugim była widownia na 60 osób, w trze-

W 1903 r. bracia Krzemińscy zamknęli definitywnie swój iluzjon przenosząc się do Warszawy, gdzie również zrobili niezłą karierę. „Teatr Żywych Fotografii” nigdy już nie wrócił do Łodzi, a lokal na Nowym Rynku 4 więcej już nie służył jako kino. Wraz z zamknięciem podwojów odeszła w niepamięć sława tego iluzjonu. Próbowano przywrócić ją w dwudziestolecie międzywojennym na łamach „Republiki”, jednak nie ożywiły one skutecznie wspomnień. Niemniej kino to na zawsze utrwaliło się w dziejach Łodzi jako pierwsze, a historycy filmu niejednokrotnie opisywali je jako jedyne w tym czasie na ziemiach polskich.

Hanna Krajewska



Rys. B. A. Szust

Dawna Łódź

po powstaniu Ligi Obrony Powietrznej Państwa (LOPP) w 1923 r. wiele spraw związanych z budową lotnisk na obszarze Rzeczypospolitej przejęła ta największa organizacja paramilitarna. Program rozbudowy sieci lotnisk był ściśle kontrolowany przez Sztab Główny przy współudziale Dowództwa Lotnictwa. LOPP miała na szczycie Zarządu Głównego organ koordynacyjny w postaci Komisji Budowy Lotnisk, potem fachowy personel w ramach wydziału lotniczo-technicznego. Praktycznie jednak główny ciężar spraw budowlanych spadał na wojewódzkie i powiatowe zarządy LOPP.

Jednym z lotnisk, które zbudowano w tym okresie było lotnisko w Lublinku pod Łodzią. W źródłach historycznych można odnaleźć informacje, że już w latach 1908-1910 na doraźne pole wlotów wykorzystywano teren w Moskucach koło Łodzi. Wkrótce po powstaniu LOPP, Zarząd Komitetu Wojewódzkiego Ligi w Łodzi przystąpił do budowy lotniska. Zadanie to narażało znacznych trudności dla organizacji społecznej opierającej swój byt na składkach i ofiarach. Potrzebna była od razu stosunkowo duża suma pieniędzy na zakup terenów pod lotnisko oraz budowę urządzeń

Lotnisko w Łodzi

Lublinek

lotniskowych. Teren o powierzchni ponad 40 ha zakupiono we wsi Lublinek, odległej 5 km od granic miasta. Po pracach niwelacyjnych przystąpiono do budowy hangaru, budynku portowego, warsztatów oraz innych niezbędnych urządzeń zabezpieczenia technicznego lotniska. Po zelektryfikowaniu portu i połączeniu go wygodną, długości 3,2 km szosą obiekt był gotów do użytkowania. Prace te prowadzono w latach 1924-1925. 13 września 1925 r. odbyło się uroczyste otwarcie lotniska. Z końcem 1925 r. Towarzystwo Lotnicze „Aero” uruchomiło stałą komunikację lotniczą łączącą Łódź z Poznaniem i Warszawą.

W październiku Łódź uzyskała dzięki staraniom Komitetu Wojewódzkiego LOPP komunikację lotniczą na szlaku Warszawa-Łódź-Kraków-Wiedeń, eksploatowaną przez Polskie Linie Lotnicze „Aerolot”. Od 1929 r. rozpoczął współużytkowanie lotniska Łódzki Klub Lotniczy.

We wrześniu 1930 r. powołano Przystosowanie Wojskowe Lotnicze. Kandydaci narodowości polskiej mający ukończony 17, a nie przekroczony 20 rok życia, z wykształceniem co najmniej 7 klas szkoły powszechnej, po ukończeniu przystosowania wojskowego I stopnia, mogli starać się o przyjęcie do lotnictwa. W aeroklubach rozpoczął pracę komendant PW Lotniczego, który kierował zgłaszającymi się kandydatów do jednego z obozów ćwiczebnych.

Na miejsce **Andrzeja Rosickiego**, odwołanego ze stanowiska prezydenta Łodzi za sprzyjanie powstaniu styczniowemu, został mianowany sztabkapitan armii carskiej **Edmund Pohlens**, kawaler orderów św. Anny 4 klasy i św. Stanisława 3 klasy z mieczami i kokardami, odznaczony medalem srebrnym za obronę Sewastopola i brązowym za udział w wojnie krymskiej.

Urodził się w Płocku 29 listopada 1830 r. z Aleksandra i Wilhelminy z Meklenburgów; jego stryjem lub powinowatym był **Edward Pohlens** (1819-1862), wybitny specjalista w dziedzinie leśnictwa, profesor Instytutu Agronomicznego w Marymoncie i członek honorowy Towarzystwa Rolniczego.

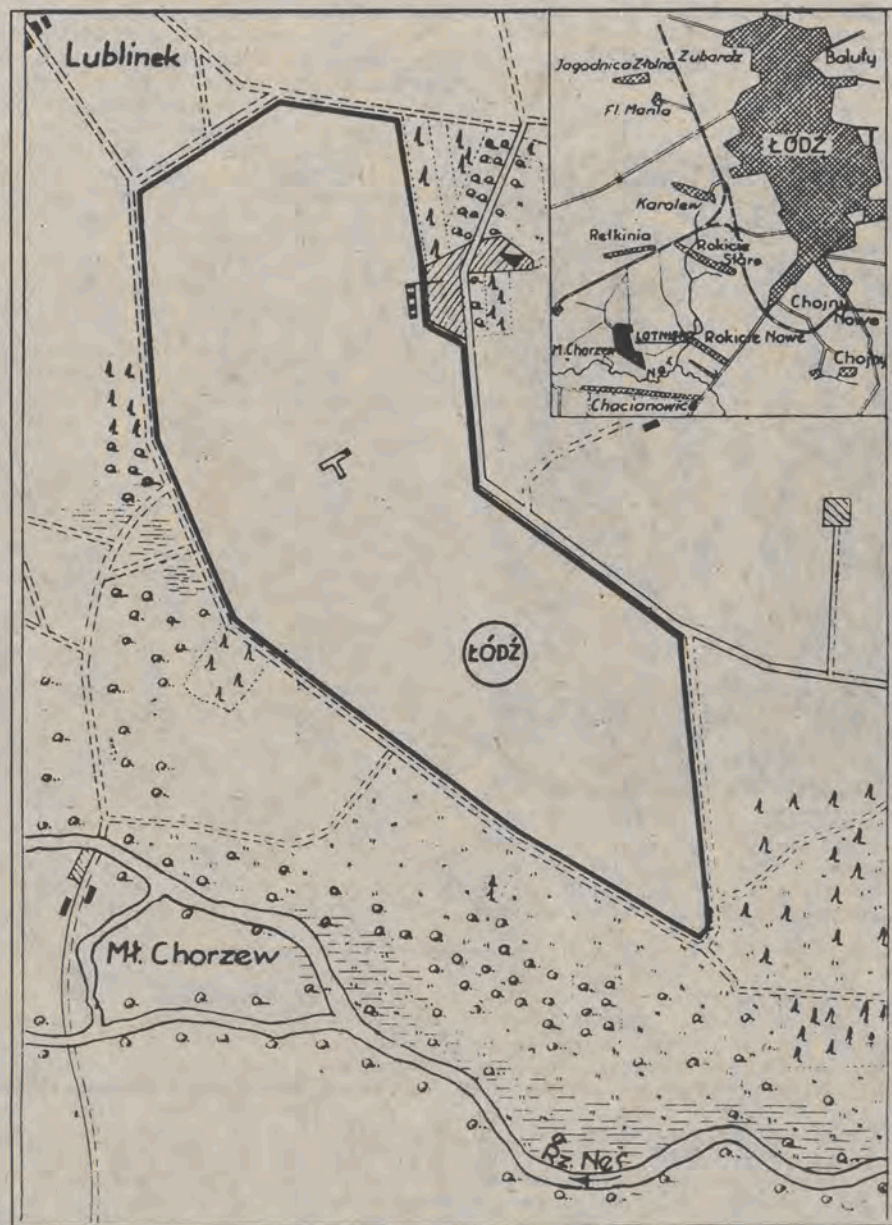
Po ukończeniu szkoły średniej w Płocku wstąpił do wojska, odbył kampanię krymską i został odkomenderowany do Królestwa, może dla poratowania zdrowia. Przez jakiś czas bawił w Płocku i wziął ślub ze szlachcianką **Olimpią Malewską**, córką Ferdynanda i Karoliny z Frydrychów. Państwo młodzi mieszkali początkowo w Płocku, potem w Nowogródku, Moskwie i Warszawie, co dwa lata (od 1858 r.) przychodzili na świat kolejno dzieci: Stefan, Wanda i Bolesław, wszystkie, podobnie jak matka wychowane w wierze katolickiej, choć ojciec był wyznania ewangelickiego.

Prawdopodobnie Pohlens nie brał bezpośredniego udziału w tłumieniu powstania styczniowego, ale wchodził w skład garnizonu łódzkiego, dając się poznać jako układny, służbisty i lojalny sztabowiec. Dzięki tym zaletom zjednał sobie przychylność **plk. Aleksandra von Broemse**na, wszechwładnego naczelnika wojennego okręgu łódzkiego, który skorzystał z nadarzającej się okazji, by wysunąć podwładnego na wa-

W 1930 r. – w miesiącach letnich – komendantem PW Lotniczego w Łodzi był **Franciszek Żwirko**. Na dwóch turnusach 3 instruktorów wyszkoliło wtedy 42 pilotów samolotowych. Drugim bardzo znanym pilotem – instruktorem PW Lotniczego w Łodzi był **Paweł Zolotow**, który szkolił w Lublinku uczniów do 1932 r.

W 1932 r. oprócz wcześniej zbudowanych

z przekazaniem 13 nowych samolotów. Ten wynik ofiarności społecznej sprawił, że niedostatek samolotów trapiących od samego zarania ośrodki szkolenia lotniczego – dodając do tego 123 samoloty przekazane w 1937 r. przez społeczeństwo za pośrednictwem „Komitetu Fundacji im. F. Żwirki i S. Wigury” – został przełamany. Lotnictwo wojskowe przestało również odczuwać



objektów były ponadto: dom służbowy dla personelu portu lotniczego, szkoła PW Lotniczego wraz z internatem dla uczniów – pilotów i stacja meteorologiczna. Mimo że w latach 1932–1934 polskie lotnictwo odniosło wspaniałe sukcesy (zwycięstwa w „Challenge” 1932 i 1934), poniesiono wielką stratę z powodu śmiertelnego wypadku lotniczego F. Żwirki i S. Wigury.

Przemysłowcy łódzcy zadeklarowali gotowość do sfinansowania Szkoły Pilotów LOPP w Lublinku. Wartość tej deklaracji wyniosła około 1 miliona złotych. Uroczyste otwarcie szkoły odbyło się 2 maja 1939 r.

braki w liczbie wyszkolonych pilotów. Napływ pilotów wyszkolonych w aeroklubach i centrach PW Lotniczego zaspokajał już potrzeby podyktowane obronnością państwa.

We wrześniu 1939 r. z lotniska Lublinek startowały do akcji bojowych samoloty m. in. 32 Eskadry Rozpoznawczej, 63 i 66 Eskadr Obserwacyjnych. Po wojnie dalszą część historii tego miejsca zaczął tworzyć Aeroklub Łódzki.

Mirosław Gajewski

kujące stanowisko prezydenta Łodzi. Tymczasem (od 15 lutego 1865 r.) obowiązki prezydenta pełnił radny magistratu **Stanisław Czaplinski**, ustanowiony z polecenia gubernatora cywilnego warszawskiego przez prezydenta Zgierza Kobylańskiego.

Edmund Pohlens objął urząd 6 marca 1865 r. i już następnego dnia zaczął przyjmować protokolarnie dowody Banku Polskiego na rezerwy funduszy gminnych, inwentarz utensyliów ruchomych oraz rejestr nieruchomości gminy. Wśród nieruchomości znajdował się dawny ratusz staromiejski, oddany do użytkowania

Sztabskapitan Edmund Pohlens

szkole, ratusz z pawilonem o jednym piętrze, murowany, z wieżyczką, w Rynku Nowego Miasta, szlachty przy ul. Zachodniej i w osadzie Łódka, dom dla gajowego w lesie miejskim, a nawet 15 ławek w ogrodzie spacerowym, których powinno być właściwie 27, ale 12 zginęło przed kilku laty, jeszcze za czasów prezydenta Traegera.

Edmund Pohlens, objawiający urząd prezydenta, wystąpił z prośbą o dymisję z wojska, którą uzyskał w kwietniu 1865 r., o czym został powiadomiony stosownym pismem Zarządu Oberpolicmajstra m. st. Warszawy dopiero w styczniu 1866 roku. Nowy prezydent okazał się niezłym administratorem miasta, udzielając poparcia różnym inicjatywom obywatelskim. Miejscowi Żydzi, mimo sprzeciwów **plk. Aleksandra von Broemse**na, jeszcze jesienią 1865 r. doprowadzili do założenia pierwszej w Łodzi szkoły polskiej dla dzieci wyznania mojżeszowego. 15 kwietnia 1866 r. powstało

niemieckie gimnazjum realne, przekształcone wkrótce na wyższą szkołę rzemieślniczo-przemysłową. Nie udało się zrealizować podjętego pod koniec 1865 r. zamiaru powołania do życia Instytutu Politechnicznego. 24 marca 1867 r. gubernator piotrkowski **gen. major Kachanow** zalecił prowadzenie korespondencji wyłącznie w języku rosyjskim. 11 czerwca 1867 r. Rada Miejska zawarła z angielskim przedsiębiorstwem **William Cartwrighta** umowę na budowę i eksploatację gazowni miejskiej w Łodzi. Budowa postępowała szybko, bo już 13 lipca 1869 r. 200 latami gazo-

wych zapłonęło w godz. 21-24 na ulicach śródmieścia. 31 stycznia 1868 r. zmarła jego 32-letnia małżonka **Olimpia** z Malewskich, którą straszkany małżonek pochował na Starym Cmentarzu Katolickim. 21 czerwca 1865 r. z inicjatywy miejscowych przemysłowców został założony łódzki oddział Banku Polskiego, który do 1870 r. przyczyniał się do rozwoju przemysłu, po czym został zlikwidowany przez Rosjan.

Mimo lojalności wobec władz **Edmund Pohlens** popadł w niełaskę carskiego wielkorządcy **plk. Aleksandra von Broemse**na i musiał ustąpić ze stanowiska, przenosząc się do Warszawy, gdzie podjął pracę w Ministerstwie Skarbu. Na jego miejsce mianowano Żyda **Maurycyego Tauburcia**, byłego referenta biura policmajstra m. Łodzi.

Andrzej Kempa

Książki, czasopisma:
„Kurier Wileński” nr 119

Kim są „wicz”

Na Litwie trwa spór o „wiczów”. Na łamach „Kuriera Wileńskiego” głos w tej sprawie zabrała prof. dr **Alicja Nagórko**, z Uniwersytetu Warszawskiego.

„Towarzystwo wiczów litewskich – różnorodni Litwini”, wśród których przewodzi **Edward Sattkiewicz** uważa siebie za „słowiańskojęzycznych Litwinów”. Pochodzenie swoje wywodzą od litewskiego słowa „vytis” – po polsku „witeź”, bohater, wojownik. Wywodzą siebie od „dawnej, białej szlachty Wielkiego Księstwa Litewskiego”. Wydają pismo „Fschodnia Litwa” – „Gazeta różnogatavendnych Litvinov”. Ich nazwiska kończą się na „wicz”. Uważają oni, że skoro Polacy przyjęli wiarę katolicką z Moraw”, to przyjęli też „język morawski”, który dał podstawę dla stworzenia języka polskiego. Nie można zatem po polsku mówiących Litwinów uważać za Polaków, tylko dlatego, że z Polski przejechali katolicyzm i ulegli polonizacji.

Prof. **Alicja Nagórko** sprzeciwia się takiej teorii. Gdy Polska przyjmowała chrześcijaństwo nie było już Księstwa Wielkomorawskiego. Plemiona, które zjednoczył **Mieszko I** mówiły różnymi narzeczeniami, które złożyły się na język polski. Końcówki „wicz” są typowe dla języka rosyjskiego (**Iwan Iwanowicz**) lub dla polskich nazwisk pochodzenia mieszczańskiego. **Klonowicz**, syn **Klonowy**, lub **staroście**, **wójtowicz** itp. Na Litwie warstwy szlacheckie uległy polonizacji, podobnie jak warstwy średnie. Jest to nie tyle wynik chrztu Litwy, co unii państwowej, która wprowadzała język polski do urzędów.

Prof. **Alicja Nagórko** sprzeciwia się istnieniu odrębnego języka „wiczów”. Uważa go tylko i wyłącznie za „polszczyznę litewską, inaczej dialekt kulturalny, czyli język polski warstw wykształconych” o znamionach typowych dla kresów. Jej zdaniem faktu tego nie zmienia przyjęta przez „wiczów” pisownia. Artykuł swój kończy kategorycznym stwierdzeniem: „wydzielenie się „wiczów” w odrębną grupę nie ma żadnej podstawy językowej”.

Opracował:
Jerzy Glinik

„... parlamentaryzm polityczny doby dzisiejszej przeżył się i nie jest już zdolny do spełnienia zadań, jakie życie nowoczesnego państwa nań nakłada” – dowodził premier **Kazimierz Bartel** na posiedzeniu plenarnym Senatu 12 marca 1930 r.

Jego zdaniem „demokracja ustroju parlamentarnego uczyniła z członka parlamentu „sui generis” fachowca. Posłowanie stało się zawodem. Na pytanie, kim jest pan X? – otrzymuję się odpowiedź – jest posłem, względnie senatorem. Człowiek, który zdobył zawód posła czy senatora, pragnie zachować go zazwyczaj na zawsze, utrata mandatu odczuwana jest bardzo często jak nieszczęście osobiste”. **Kazimierz Bartel** zarzucał posłom bierność, uzależnienie się od kierownictwa partyjnego oraz nieodpowiedzialność, prowadzącą do demoralizacji.

Profesor Politechniki Lwowskiej, matematyk, premier pierwszego gabinetu po przewrocie majowym, od 29 grudnia 1929 r. już po raz piąty stojący na czele rządu, był uważany za czołowego przedstawiciela liberalnego skrzydła obozu sanacyjnego, rywalizującego z grupą tzw. pułkowników, zwolenników rządów silnej ręki.

Stąd też opozycyjny publicysta z socjalistycznego „Robotnika” zauważył z przekąsem następnego dnia, że przemówienie premiera „ludzie dowcipni określili z punktu jako próbę wciągnięcia na „pojedynawcze” barki profesorskie ciasnego mundurku „pułkownika”.

W istocie jednak już trzy lata wcześniej **Kazimierz Bartel**, wówczas wicepremier w gabinecie **Józefa Piłsudskiego**, podczas dyskusji budżetowej w Sejmie wygłosił także ostrą mowę przeciwko partiom politycznym i doprowadził świadomie do napięcia w stosunkach między parlamentem i rządem. Tym razem, również w porozumieniu z **J. Piłsudskim**, dążył także do sprowokowania konfliktu z Sejmem. Okazję do rozgrywki stworzył zgłoszony cztery dni wcześniej (08.03) wniosek posłów PPS o wotum nieufności dla ministra pracy i opieki społecznej **Aleksandra Prystora**.

Aleksander Prystor, przyjaciel **Józefa Piłsudskiego** i jedna z czołowych postaci w grupie pułkowników, jako minister pracy i opieki społecznej dążył do ograniczenia samorządu ubezpieczeniowego. Prowadził swego rodzaju czystkę w zdominowanych przez socjalistów kasach chorych, rozwiązując ich samorządy, usuwał z nich opozycyjnych działaczy PPS, a wprowadzał w ich miejsce jako komisarzy zwolenników rządu. Przywódcy i publicyści PPS podkreślali, że postawie socjalistycznej składając wniosek o wotum nieufności dla **Aleksandra Prystora** kierowali się nie chęcią „zemsty” za jego politykę personalną, lecz dążeniem do odrzucenia „samej istoty” pomajowego systemu rządzenia”.

31 maja 1991 r. w programie TV „Obrazy, Słowa, Dźwięki” wyświetlano urywki filmu o tematyce okupacyjnej z „Ryszardą Hanin w roli głównej i z komentarem prof. Jana Błońskiego z Krakowa. O ile zdołałem się zorientować treść filmu jest następująca: *Bohaterka za duże pieniądze decyduje się zabrać z getta dziewczynkę o wyraźnie semickim wyglądzie. Wszędzie napotyka na kłopoty w związku z wszechobecną niechęcią do Żydów. Przedsięwzięcie kończy się tragedią w związku z tym, że polscy chłopcy bawią się w łapanie Żydów, czego dziewczynka nie wytrzymuje nerwowo. Zdradza się ucieczką, co zostaje zauważone przez żandarmerię niemiecką.*

Kiedy wojna się zaczęła, miałem lat osiem z okładem, a kiedy się kończyła – 14 lat. Mieszkałem w małym miasteczku, w którym przed wojną było bodaj więcej Żydów niż Polaków. Problem zagłady Żydów widziałem oczami sporej grupy chłopców, z którymi się bawiłem, jak i oczami mojej całej rodziny.

Film – z tego co widziałem i słyszałem – uważam za krzywdzący Polaków. Przed wojną, tak jak to pamiętam, istniała w części społeczeństwa wyraźna niechęć do Żydów. Dla nas, dzieci, byli oni przede wszystkim niepokojący i śmieszni w swojej inności. Czarne stroje, żywa gestykulacja, długie pejsy, chropawy, niezrozumiały język, którym posługiwali się z niewiarogodną pewnością, kaleczenie języka polskiego. To wszystko nie wzbudzało apriorycznej sympatii.

Szpital, którego dyrektorem był mój ojciec, miał wyłącznie dostawców żydowskich, bowiem nikt inny w miasteczku nie miał kapitału na dostawę dla ogromnego komunalnego szpitala. Ojciec jednych szanował i lubił, jeśli wywiązywali się ze swoich zadań, innych uważał za niezadowolonych i przestawał z nimi współpracować. Ponieważ wszystko to byli Żydzi, trudno więc wysnuwać jakiegokolwiek wnioski z jego postępowania. Sam miał ogromny szacunek i zaufanie wśród społeczności żydowskiej. Wystarczyły jego słowne zobowiązania, aby jego dostawcy wzajemnie żyrowali sobie weksle. Zarówno ojciec jak i matka byli z tego dumni.

Pierwsze represje niemieckie w miasteczku skierowane były nie przeciwko Żydom, a przeciwko polskiej inteligencji. Już w listopadzie 1939 r. rozstrzelano bodaj 35 osób, w tym burmistrza, kilku księży, nauczycieli... Lekarzy i tych, którzy brali udział w Kampanii Wrześniowej, oszczędzono i po kilkudniowym internowaniu wypuszczono. Dopiero potem przyszła kolej na Żydów. Pamiętam ogromne, przynębiające wrażenie, kiedy pierwszy raz zobaczyłem ich z opaskami i gwiazdami na rękawach i na plecach, chodzących jeźdźcami i kłaniających się Niemcom. Do dziś pamiętam dwa uczucia, które mną miały. Były to: bunt i strach. Bunt, że tak nie wolno z

ludźmi robić i strach, że w tym przekładańcu terroru za chwilę znowu przyjdzie kolej na nas.

Jednocześnie – z tego co pamiętam – zmienił się stosunek Polaków do Żydów. Ci, którzy bali się lub nie chcieli pomóc odsuwali się jak najdalej. Jednocześnie nie przeszkadzano tym, którzy się nie bali. Nie mogę sobie przypomnieć ani jednego aktu wyzywania się na pogębionych, mimo że w małomiasteczkowej społeczności na pewno było wiele wzajemnych animozji. Wiem, że ojciec pomagał jak mógł, ale niewiele mógł. Na początku 1942 r. został aresztowany i zobaczyliśmy go dopiero po wojnie.

Ponadto – co muszę podkreślić z całą mocą – zmienił się stosunek moich rówieśników do Żydów. Głębokie poczucie wspólnego zagrożenia doprowadziło do całkowitego zaniku poczucia

nielata? Ja, wychowany w atmosferze „małomiasteczkowego ciemnogrodu”, a częściowo na zapadłej wsi mazowieckiej powinienem się więcej nasłuchać ohydnych wypowiedzi antyżydowskich niż Jan Błoński – jak mniemam – w intelektualnej atmosferze okupacyjnej Warszawy. Tymczasem ja, na przykład o argumentie, że holokaust jest karą boską za zamordowanie Chrystusa dowiedziałem się dopiero z filmu „Shoah”.

Uważam, że w latach wojny jako naród godnie spełniliśmy swój obowiązek wobec Żydów. Tego dobrego samopoczucia nie zmienia fakt istnienia wśród nas kilkuset czy nawet kilku tysięcy szmalców, którzy wydawali Żydów. Armia Krajowa wydawała na nich wyroki jako na zbrodniarzy i te wyroki były wykonywane bez pardonu. Wstydzę się, że oni się w ogóle pojawi-

Świat nas osądził i przypiął etykietę

Powrót w tamte lata

śmieszności ludzi naznaczonych gwiazdami.

Pomysł autora scenariusza filmu, który każe polskiemu chłopcom bawić się w łapanie Żydów, uważam wręcz za paszkwil na polskie dzieci z tamtych czasów. Nie wiem, jakie doświadczenia wojenne ma scenarzysta, którego nazwiska nie zapamiętałem, nie mniej z moich osobistych doświadczeń taka rzecz wśród nas była niemal niemożliwa. Do zabawy w łapanie Żydów chłopcy musieliby się podzielić na dwie grupy. Jedną musiałaby chcieć być Niemcami a jedną Żydami. Kiedy bawiliśmy się w wojnę, żadna strona nie chciała być stroną niemiecką. Drugą grupę też trudno byłoby wyznaczyć – choćby ze strachu. Zapewniam więc, że myśmy się tak nie bawili. Po prostu niemieccy łapacze nie byli ani dla mnie, ani dla moich nieraz bardzo prymitywnych kolegów wzorcem do naśladowania. Wiem, że dzieci bywają często brutalne i myśmy też potrafili być brutalni. Tym łatwiej dziś wymyślić taki fragment scenariusza. Niemniej ten zabieg przypomina mi tok pewnych przesłuchań. – *No, przyznajcie się, że jesteście antysemitami, my to wiemy, po co się tak zapierać. Z mlekiem matki to wyszaliście, nie zaprzeczajcie. O tu widzicie, nawet jako dziecko bawiliście się w łapanie Żydów, to kim teraz możecie być?*

Film ten robi z mojego narodu narodek, a komentarz Jana Błońskiego, który od dawna z uporem bije się m. in. w moje piersi, jeszcze to pogłębia. Skąd te doświadczenia u mojego rów-

ni, ale nie mogę za to brać odpowiedzialności. Nie wymagam również od Żydów ekspiacji za istnienie na ziemiach Rzeczypospolitej zajętych przez bolszewików niemałej grupy takich osobników, którzy powkładali czerwone opaski i wydawali Polaków. W każdym narodzie znajdzie się trochę parszywych owiec i ważne jest jak ustosunkowuje się do nich społeczność.

Problem polsko-żydowski jest tak trudny, że rozsądzi ramy każdego artykułu. Każda wypowiedź, która nie jest jednym wielkim braniem na siebie odpowiedzialności za holokaust jest narazona na to, że Jan Błoński et consortes przywałą człowiekowi z grubej rury antysemitę. A przecież jesteśmy coś winni choćby tylko tym ludziom, którzy w obronie Żydów stracili życie. Czy ktoś w ogóle spróbował policzyć rodziny polskie czy nawet niemieckie na ziemiach polskich wymordowane za ukrywanie Żydów? Im nikt żadnego drzewka nie posadzi, bowiem ani oni, ani ich podopieczni już nie żyją. Nie ma kto dać świadectwa. My nawet nie wiemy, ilu Żydów udało się uratować z pogromu? Jedni podają liczbę 300.000, inni 150.000. Przeważająca większość nie wyszłaby z życia bez polskiej pomocy. Jeśli przyjąć 300.000 (spore miasto), to co dziesiąta rodzina polska przechowywała Żyda. Trzeba sobie przypomnieć, że jednocześnie ukrywało się przed okupantami z pół miliona Polaków, a sami opiekunowie nie znali dnia ani godziny.

Obraz okupacji w Polsce zacznie się niedu-

go jawić następnym pokoleniom jako sielanka, podczas której głaskani przez okupantów po głowie Polacy masowo wraz z Niemcami towarzyszą ukrywającym się nie wiadomo u kogo Żydom. Tymczasem terror psychiczny był wręcz straszliwy. Kiedy do wsi, w której mieszkałem, zbliżali się żandarmi niemieccy, z pierwszej chałupy wysyłano chłopaka, który opłotkami obiegał wszystkie gospodarstwa z tą wieścią i cała wieś wpadała w popłoch. I w takich warunkach jeszcze znajdowali się tacy, którzy pozwalali sobie na luksus ukrywania Żydów zmniejszając w ten sposób w znacznym stopniu swoje szanse na przeżycie.

Zastanawiające jest, że ta masa opiekunów, z których jedni uważali to za swój moralny obowiązek, inni za dokuczliwą konieczność, a wreszcie inni za bardzo ryzykowny interes (z ostatnich chyba nikt nie przypuszczał, że to potrwa co najmniej 4 lata) nie stworzyła po wojnie żadnej organizacji kombatanckiej wystawiającej klapy na order. I ten fakt po głębokim namyśle przybliżył nam do karb polskiego antysemityzmu.

Obarczanie nas winą za zagładę Żydów europejskich dlatego, że obozy mieściły się na terenie Polski i dlatego, że wzajemne stosunki przed wojną nie układały się dobrze oraz produkowanie filmów w takim duchu jest przejawem antypolonizmu i teorii o odpowiedzialności zbiorowej. Przed tym musimy się bronić, bowiem nikt inny tego nie zrobi. Obrona jednak nie może w żadnym przypadku polegać na krzewieniu wtórnego antysemityzmu, bowiem to nie jest żadna obrona. Nie mogę zresztą zrozumieć tego uczucia. Nie wysłałem go z mlekiem matki, a w sytuacji kiedy oba narody zostały rozdzielone, nie ma ono już żadnych realnych podstaw. Obrona może polegać jedynie na rzetelnym bilansie strat i zysków z wielowiekowego współżycia i przedstawieniu go opinii świata. Mam jednak przykre odczucie, że nasza obrona nie na wiele się przyda. Świat nas osądził i przypiął nam już odpowiednią etykietę. Ale jeśli tak jest, nie pograżamy się chociaż sami, przyjmując na siebie odpowiedzialność za czyny nie popełnione albo popełniane przez małą garstkę naszych współziomków.

Czy posiadając takie poglądy, uważam słowa przeproszenia prezydenta Lecha Wałęsy za niewłaściwe? Nie. Tak należało postąpić. Współżycie obu narodów na ziemiach polskich nie było najlepsze. I nie bawię się w dociekania, kto komu jest ile winien i kto pierwszy zaczął, to właśnie trzeba było zrobić. Martwić się, jak to świat przyjął i jak skomentował tę wyciągniętą rękę, nie mamy po co. W kłku sprawach jesteśmy od dawna „chłopcem do bicia” i prawdopodobnie w najbliższym czasie nic się w tej materii nie zmieni. Ważne jest samo przekonanie, że się zrobiło to, co było do zrobienia.

Andrzej Wilczkowski

14 marca, w piątek, Sejm obradował nad wnioskami o wotum nieufności, pierwszym – dla ministra Aleksandra Prystora, drugim – ten zgłosili posłowie Chrześcijańskiej Demokracji – dla ministra wyznań religijnych i oświecenia publicznego Sławomira Czerwińskiego. Tego dnia w gmachu przy ul. Wiejskiej widoczne było wielkie ożywienie; odnotowano nie tylko dość liczną frekwencję posłów i senatorów, ale także przepelnioną galerię dla publiczności i ścisł w loży prasowej. Jak zauważył dziennikarz socjalistycznej gazety: „Jedno pytanie interesuje wszystkich. Upadnie czy nie upadnie. Oczywiście mowa o rządzie. Najsprzeczniejsze pogłoski krążą po klubach, kłuarach i sali obrad... Rząd chce, pożąda, pragnie przesilenia – powtarzają sobie ludzie z ust do ust”. Nie ukrywali tego ani premier, ani inni członkowie gabinetu obecni na sali obrad.

Wkrótce po tym, gdy marszałek Ignacy Daszyński niemal w samo południe otworzył obrady, jako pierwszy zabrał głos premier Kazimierz Bartel. Nie podejmując merytorycznej oceny motywów złożonych wniosków o wotum nieufności dla obu ministrów oświadczył, że on sam i cały rząd solidaryzują się z krytykowanymi. Zapowiedział też podanie się do dymisji całego gabinetu w przypadku przegłosowania owych wniosków. Aleksander Prystor natomiast nie zabrał głosu, chociaż tego się spodziewano, tym bardziej że długą listę zarzutów i oskarżeń wytoczył przeciwko niemu poseł Zygmunt Żuławski z PPS.

Nie oszczędzali też ministra mówcy z innych partii opozycyjnych wchodzących w skład bloku centrolewicowego, a także z Klubu Narodowego i Ukraińsko-Białoruskiego. Jedyne przedstawiciel Stronnictwa Chłopskiego złamał solidarność klubów Centrolewu, proponując odesłanie wniosków posłów socjalistycznych do Komisji Pracy. Jego propozycję większość posłów odrzuciła w głosowaniu „przez drzwi”, po czym już w zwykłym głosowaniu („przez powstanie”) wniosek o wotum nieufności dla Aleksandra Prystora uzyskał znaczną większość głosów.

Wynik ten lewica powitała oklaskami, zaś ministrowie skierowali się z ław rządowych ku wyjściu. W tym momencie klub Bezpartyjnego Bloku Współpracy z Rządem (BBWR) zgotował im huczną owację. Głosowanie wniosku o wotum nieufności dla ministra Sławomira Czerwińskiego stało się zbędne, gdyż rząd, zgodnie z zapowiedzią premiera, podał się do dymisji. Kiedy marszałek Ignacy Daszyński zamknął posiedzenie Sejmu, posłowie BBWR zaintonowali „Pierwszą Brygadę”.

Następnego dnia „Robotnik” na pierwszej stronie zamieścił listę dziesięciu najczęściej powtarzających się nazwisk kandydatów na premiera. Był na jej czele Kazimierz Bartel i minister skarbu Ignacy Matuszewski, i minister spraw wewnętrznych Henryk Józewski i wojewoda wileński Władysław Raczkiewicz, dopiero na szóstym miejscu Józef Piłsudski, a dalej b. premier Kazimierz Świtalski, prezes BBWR Walery Stawek i minister Aleksander Prystor.

Tego samego dnia Kazimierz Bartel udał się na Zamek, by na ręce prezydenta Ignacego Mościckiego złożyć prośbę o przyjęcie dy-

nim po latach poseł socjalistyczny (Adam Pragier).

Profesor Szymański poważnie potraktował propozycję i z zapalem przystąpił do pracy nad formowaniem rządu. Jeszcze tego wieczoru spotkał się z ustępującym premierem i marszałkiem Sejmu Ignacym Daszyńskim. Przez cały tydzień konferował z przedstawicielami klubów poselskich, z politykami opozycji i obozu rządzącego, dochodząc do przekonania, że możliwa będzie współpraca obu stron i utworzenie rządu porozumienia politycznego.

Z takimi też wnioskami udał się do Józefa

jego biograf (A. Garlicki), dzięki przesileniu gabinetowemu osiągał istotne cele propagandowe w rozgrywce z opozycją. W tej sytuacji, gdy nieuchronnie zbliżał się konstytucyjny termin uchwalenia budżetu, a rządowy projekt z poprawkami Senatu czekał na zatwierdzenie przez Sejm sparaliżowany przesileniem gabinetowym, to łatwo można było zarzucić parlamentowi nieudolność i niewypełnianie podstawowych obowiązków. Ponadto przez sparaliżowanie Sejmu kierownictwo obozu rządzącego nie dopuściło do podjęcia niekorzystnego dlań werdyktu przez Trybunał Stanu w sprawie b. ministra skarbu Ga-

1930: Józef Piłsudski rozpoczął grę z Sejmem RP

Marcowe przesilenie gabinetowe

misji gabinetu. W odpowiedzi prezydent, jak stwierdzał oficjalny komunikat rządowy, „wyraził zdziwienie, że Sejm spowodował otwarcie przesilenia rządowego w chwili, gdy prace nad budżetem państwa nie zostały jeszcze zakończone”. Po południu natomiast prezydent „odbył naradę z Panem Marszałkiem Polski Józefem Piłsudskim w celu omówienia wytworzonej sytuacji oraz zasięgnięcia opinii P. Marszałka, jako osoby mającej najdłuższe doświadczenie w kierownictwie sprawami państwa”. Późnym wieczorem Józef Piłsudski przyjął w Belwederze Kazimierza Bartła.

W poniedziałek, 17 marca 1930 r., prezydent ponownie konferował z Józefem Piłsudskim, a wieczorem podpisał dekret o dymisji gabinetu Kazimierza Bartła. Józef Piłsudski odmówił przyjęcia misji utworzenia rządu, a motywy swej decyzji wyjawiał w artykule, który opublikował następnego dnia. W enuncjacji tej w sposób dłań charakterystyczny, nie przebiegający w słowach wyraził bardzo krytyczną ocenę metod pracy Sejmu i postaw posłów.

Po południu 18 marca prezydent powierzył misję utworzenia rządu Julianowi Juliuszowi Szymańskiemu, marszałkowi Senatu. Kandydat na premiera, wybitny okulista, profesor Uniwersytetu Wileńskiego, jako polityk nie zyskał najwyższych ocen u współczesnych: „Zaeny człowiek, w tajnikach wielkiej polityki nieporadny jak niemowle” wspominał o

Piłsudskiego w południe 25 marca. Tymczasem w Belwederze czekała go niemila niespodzianka, bowiem Piłsudski na jego ofertę odpowiedział: „Ja na to nie pójdę”. Tak więc czynnik miarodajny nie zaaprobował poczynań desygnowanego premiera, traktując jego misję jako element w grze obliczonej na przedłużenie przesilenia rządowego. W dodatku, jak oświadczył J. Szymański na konferencji prasowej, Józef Piłsudski wysunął pod adresem opozycji cztery twarde warunki, od których spełnienia uzależniając zgodę na wejście w skład rządu. Wiadomo było, że ani ugrupowania Centrolewu, ani endecja tych żądań nie przyjmą, ponieważ ich spełnienie prowadziło do sparaliżowania parlamentu, a tym samym klęski opozycji. Ta, oczywiście, owe warunki zdecydowanie odrzuciła, domagając się zmiany systemu rządzenia w kraju.

Następnego dnia, 26 marca 1930 r., profesor J. Szymański ostatecznie zrzekł się misji tworzenia gabinetu. Wczorzym prezydent powierzył to zadanie posłowi Janowi Piłsudskiemu z klubu BBWR, młodszemu bratu marszałka. Desygnowany premier, podobnie jak jego poprzednik, energicznie konferował z czołowymi politykami obozu rządzącego i opozycji, udzielał wywiadów prasie na temat przebiegu prac nad formowaniem gabinetu. Wiadomo jednak było, że to tylko gra na zwłokę, celowe przedłużanie przesilenia rządowego.

Tymczasem Józef Piłsudski, jak wskazuje

briela Czechowicza oskarżonego o przekroczenie budżetowe i przekazanie środków finansowych rządu z polecenia Józefa Piłsudskiego na aukcję wyborczą BBWR przed dwoma laty.

Marszałek Sejmu Ignacy Daszyński wszakże, wbrew tradycji niezwoływania izby poselskiej w czasie przesilenia rządowego, zwołał posiedzenie plenarne na sobotę, 29 marca. Odbyło się ono w napiętej atmosferze, a opozycja obawiała się powtórzenia zajść sprzed czterech dni, kiedy posłowie BBWR podjęli gwałtowną obstrukcję w Komisji Budżetowej, nie cofając się przed niszczeniem sprzętu w sali obrad. Tym razem do tego nie doszło wobec skreślenia z porządku dnia sprawy Gabriela Czechowicza.

Było to, jak odnotowała prasa, „milszące posiedzenie Sejmu”. Trwało ono kilkadziesiąt minut, a budżet uchwalono bez dyskusji. „W chwili gdy posłowie opuszczali salę – donosiła „Gazeta Polska” – pomiędzy pos. Dobrzańskim z klubu BBWR i prezesem Klubu Narodowego pos. Rybarskim powstało zajście, w wyniku którego pos. Dobrzański uderzył pos. Rybarskiego. Znajdujący się w pobliżu posłowie, natychmiast ich rozdzielili”.

Jan Piłsudski zrzekł się misji tworzenia rządu, a w kilka godzin później prezydent Ignacy Mościcki powierzył ją Waleremu Sławkowi, prezesowi BBWR, uważanemu za przywódcę grupy pułkownikowskiej. Przesilenie gabinetowe dobiegło końca.

Paweł Samuś

PRAWDZIWIY DOM • PRAWDZIWIY DACH



**WŁOSKIE DACHÓWKI BITUMICZNE
NAJNOWSZEJ
GENERACJI**

Powiązanie najlepszych tradycji
z nowoczesną technologią:

kolorowe • lekkie • elastyczne • szczelne
mrozo- i ognioodporne • łatwe w montażu
• nie wymagające konserwacji

Stoiska informacyjne:

- Łódź, ul. Zamenhofska 1/3, tel. 32 66 82
- Warszawa, ul. Bartycka 26 (Salon „Budexpo”), tel. 40 46 74 w. 244
- Wrocław, ul. Oławska 2, tel. 44 46 93
- Kraków, ul. Mickiewicza 31, tel. 33 66 84

Ponadto oferujemy:

okna dachowe obrotowe • wywietrzniki dachowe • płyty dachowe
ocieplające • sklejkę wodoodporną • folię izolacyjną • wykładziny gumowe
(garażowe, tarasowe) • wykładziny dywanowe • armaturę łazienkową

oraz **uniwersalne kioski handlowe**

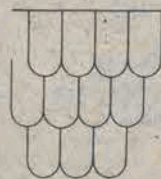
- wykonywanie dachów wentylowanych i renowację dachów płaskich

Montaż
układanie



10 lat
gwarancji

90-430 LODZ-POLAND – Zamenhofska 1/3 str.
phone 32 66 82 fax 37 29 94 tlx 884479



Ogłaszaj się w „Odgłosach”

HURTOWNIA EXPORT-IMPORT



Łódź
ul. Rzgowska 2a

tel. 84-52-26,
81-50-93

POLECA:

1. *Odzież (bluzki, swetry, skarpety)*
2. *Zabawki*
3. *Wózki z pozytywkami – 2 rodzaje*
4. *Papier ozdobny (folia)*
5. *Bizuterię*
6. *Działaniny krajowe*
7. *Inne wyroby z:*

Korei, Chin, Turcji, RFN, Szwecji

Zapraszamy w godz. 8.00-18.00

**Życzymy
udanych zakupów**

STAWIAMY NA JAKOŚĆ

Mikrokomputery Pc 286, 386, 486, dyskiety HD

Dla koneserów oryginalne płyty 386 INTEL'a
ceny promocyjne

Drukarki SEIKOSHA, STAR, HEWLETT PACKARD

Instalacja sieci NOVELL. Oprogramowanie

Listwy przeciwzakłóceń 10 Amp, 5 gniazd – 250.000,-zł

Świadczymy kwartalne konserwacje sprzętu minikomputerowego.

P.Z. „RODAN”, ŁÓDŹ, ul. Szparagowa 6/8, tel. 52-40-68,
tel. i fax 52-10-07 tlx 886103 rodan pl.

To nie okazja

To stałe działanie

Tylko



BUDOHURT S.A.

**Łódzka Centrala Materiałów Budowlanych
„BUDO-HURT” S.A. w Łodzi**

w sklepie przy ul. Gdańskiej 140
i Hurtowni przy ul. Tuwima 97

oferuje bogaty wybór tanich
i jakościowo najlepszych materiałów
budowlanych i instalacyjnych, m.in.:

**rewelacyjny wybór glazury, zlewozmywaki
z blachy nierdzewnej.**

Przyjeźdź, sprawdź a wyjedziesz zadowolony.
Zakupy hurtowe to szansa na negocjacje cenowe.



**Zakłady Przemysłu
Pończosznego
„SANDRA”**

Aleksandrów Łódzki
ul. Piotrkowska 10/12
tel. 12-10-30, 12-17-24,
52-22-17

oferują do sprzedaży:

w szerokiej gamie wzorniczo-kolorystycznej
• skarpety • podkolanówki • rajstopy
z bawełny, anilany, elastilu.

ZAPRASZAMY do zakupów w sieci własnej:

ALEKSANDRÓW ul. Piotrkowska 10/12
ul. Wojska Polskiego 64, tel. 12-17-27
KUTNO, al. ZHP 8
KOŚCIAN, ul. Wrocławska 3a
POGORZELICA k. Trzebiatowa woj. szczeciński
– OWS „SANDRA”

**POZNAŃ, ul. Piątkowska 23 tel. 23-87-23
TORUŃ, ul. Fałata 35/37**

POSZUKUJEMY:

- * lokali na sklepy firmowe o pow. do 80 m²
- * akwizytorów

SOBOTA

**13 lipca
PROGRAM I**

7.00 W sobotę rano
7.45 Tydzień na działce
8.15 Piłkarska kadra czeka
8.35 Ziarno – program redakcji katolickiej
9.00 Wiadomości poranne
9.10 Teleferie – Walt Disney przedstawia
10.25 Na zdrowie
10.45 Bellona
11.10 Telewizyjny koncert zyczeń
11.40 Życie – Magazyn ekologiczny
12.10 Wędrowki dalekie i bliskie
12.50 Siódemka w Jedyńce – francuski program satelitalny – „Czasy katedr” (5)
13.40 Szukać wielkiej formy – reportaż
14.00 Wielki sport
15.30 „Niemcy bez muru 1990” cz. 2 – film dokumentalny produkcji niemieckiej
16.45 Rock – express
17.15 Teleexpress
17.30 Klub dobrej książki
17.55 „Zwidy Jerzego Beresia” – film dokumentalny
18.25 Butik
18.55 Z kamerą wśród zwierząt
19.15 Dobranoc
19.30 Wiadomości
20.05 „Jak tylko potrafisz” – film fabularny produkcji USA (r. prod. 1980, 116 min.)
22.05 Sportowa sobota
22.30 Wiadomości wieczorne
22.50 Śpiewa Ewa Demarczyk
23.50 „Szalony Max” – film kryminalny produkcji australijskiej (r. prod. 1979, 93 min.)

PROGRAM II

11.05 Tacy sami
11.25 Dookoła świata
11.55 Z wiatrem i pod wiatr
12.25 Polska baba
13.25 Zwierzęta świata
13.55 Festiwal muzyki w Łanucie 1991
14.25 Ze wszystkich stron
14.55 Program dnia
15.00 Zezem
15.25 Kobiety na mojej drodze
15.30 „Santa Barbara”
17.00 Punkt widzenia
17.30 Wrocłowska lista przebojów Marka Niedzwieckiego
18.00 Program lokalny
18.20 Godzina... z
19.20 Kobiety na mojej drodze
19.30 Galeria 38 milionów
20.00 Muzyka Kościoła Adwentystów Dnia Siódmego
21.00 Hale i Pace
21.30 Panorama dnia
21.45 Bez znieczulenia
22.00 Słowo na niedzielę
22.05 „Kamienie Ibarry”

NIEDZIELA

**14 lipca
PROGRAM I**

7.00 Witamy o siódmej
7.30 Kraj za miastem
7.55 Po gospodarstwu
8.10 Od niedzieli do niedzieli
8.55 Teleferie: „Mio, mój Mio” – film produkcji angloskoro-radzieckiej (r. prod. 1986, 95 min.)
10.30 Przygody roślin (5) – serial dokumentalny
11.00 Notowania, czyli co się opłaca rolnikowi
11.25 Śladami Warszycy – program dokumentalny
11.50 Telewizyjny koncert zyczeń
12.20 Circom regional prezentuje...
12.50 Magazyn Morze
13.10 Alfabet komediatorów
13.50 Zielony karnawał – turniej tańca towarzyskiego
14.50 Pieprz i wanilia
15.30 W starym kinie: „Rewia Chaplinowska” – film montażowy produkcji USA (r. prod. 1938, 75 min.)
16.45 Telewizjer
17.10 Teleexpress
17.25 Telewizyjny Teatr Rozmaitości – Władimir Arro „Spójrzcie, kto do nas zawitał”, reż. Ewa Petelska.

19.00 Wieczorynka
19.30 Wiadomości
20.05 „Miliarderka” (2) – serial produkcji francuskiej
21.35 Kabaret Olgi Lipińskiej
22.25 Wiadomości wieczorne
22.45 Sportowa niedziela
23.05 7 dni – świat

PROGRAM II

10.30 Program lokalny
11.00 Wybrańcy Melpomeny
11.30 Program muzyczny
11.50 Zbliżenia, czyli to i owo o filmie
12.30 Express dimanche
12.45 Kobiety na mojej drodze
13.00 PKF
13.10 100 pytań do...
13.50 „Przyłbice i kaptury”
14.50 Film dokumentalny
15.45 Studio sport
17.30 Bliżej świata
18.30 Kobiety na mojej drodze
18.40 Felietony doraźne Jacka Federowicza (1)
19.00 Wydarzenia tygodnia
19.30 Galeria Dwójki
20.00 Przeboje Bogusława Kaczyńskiego
21.00 Muzyczna Antena 5
21.30 Panorama dnia
21.45 Rozmowy bez sekretów
22.20 „Teresa Raquin”
23.15 Felietony doraźne Jacka Federowicza (2)
23.35 Kobiety na mojej drodze

PONIEDZIAŁEK

**15 lipca
PROGRAM I**

17.00 Studio lato
17.15 Teleexpress
17.30 Studio lato
18.00 „Dziedzictwo Guldenburgów” (1) – serial produkcji niemieckiej
18.25 Studio lato
19.15 Dobranoc: „Przygody Bolka i Lolka”
19.30 Wiadomości
20.05 Teatr telewizyjny – Spektakl na bis – Jędrzej Kitowicz „Opis obyczajów, czyli jak zwyczajnie wszędzie się mieszka zle do dobrego”, reż. Mikołaj Grabowski, wyk.: Iwona Bielska, Urszula Popiel, Anna Tomaszewska, Jan Frycz, Jerzy Goliński, Andrzej Grabowski, Mikołaj Grabowski
21.55 Leksykon polskiej muzyki rozrywkowej „S”
22.35 Wiadomości wieczorne
22.55 „Dziedzictwo Guldenburgów” (1) – serial produkcji niemieckiej (wersja oryginalna)
23.20 BBC – World service

PROGRAM II

16.45 Powitanie
17.00 Zwierzęta wokół nas – Podaj łapę
17.30 „Cudowne lata” (13) – „Koda” – serial produkcji USA
18.00 Program lokalny
18.30 Przegląd kronik filmowych
19.00 Ojczyzna-polszczyzna – „Drepcze czy drepcze?”
19.15 Zapraszamy do Dwójki
19.30 Z harfą przez stulecia – gra Anna Sikorzak-Olek
20.00 Krajobraz po wojnie torfowej – reportaż
20.30 Powroty – film dokumentalny
21.30 Panorama dnia
21.45 Sport
21.55 „Jarosław Mądry” (1) – serial produkcji radzieckiej reż. Grigorij Kochan, wyk. Jurij Murawiecki, Ludmiła Smorodina, Konstantin Stiepankow
23.10 Studio im. Andrzeja Munka – Errata, czyli sceny pokutne w nowych osiedlach – reż. H. Dederko

WTOREK

**16 lipca
PROGRAM I**

8.00 Dzień dobry
9.00 Wiadomości poranne
9.10 Teleferie najmłodszych ze smokiem
9.35 Kino teleferii
10.00 To się może przydać
10.25 „Matyas Sandor” (3) – serial produkcji węgiersko-francuskiej

11.25 Aktualności telegazety
17.00 Studio lato
17.15 Teleexpress
17.30 Studio lato
18.00 Dziedzictwo Guldenburgów (2) – serial
18.25 Studio lato
19.15 Dobranoc
19.30 Wiadomości
20.05 „Przemysłowcy” – film fabularny produkcji polskiej (r. prod. 1985, 85 min.) reż. Włodzimierz Olszewski
21.30 Telemuzak – magazyn muzyki rozrywkowej
22.10 Welcome to Poland – magazyn gospodarczy
22.40 Wiadomości wieczorne
23.00 Dziedzictwo Guldenburgów (2)
23.25 BBC

PROGRAM II

8.40 Santa Barbara – serial
9.25 Magazyn telewizji śniadaniowej
10.00 CNN
10.15 Ameryka w moich oczach – Ludzie i przyroda
16.45 Powitanie
17.00 Moda i muzyka – Emili Collechon i Ryszard Rykowski
17.30 Cudowne lata (14)
18.00 Program lokalny
18.30 Modlitwa wieczorna
18.50 Magazyn 102
19.30 Polacy – Wiesław Kunicki – Amerykański pisarz z polskim rodowodem – film dokumentalny
20.00 Reportaż
21.00 Teatr czyli świat
21.30 Panorama dnia
21.45 Sport
21.55 Sherlock Holmes – „Głos terroru” – film fabularny
23.00 Stan krytyczny

SRODA

**17 lipca
PROGRAM I**

8.00 Dzień dobry – poranny magazyn rozmaitości
9.00 Wiadomości poranne
9.10 Teleferie
9.35 Kino teleferii
10.00 Przyjemne z pożytecznym
10.25 Dynastia (92) – serial produkcji USA
11.15 Aktualności telegazety
17.00 Studio lato
17.15 Teleexpress
17.30 Studio lato
18.00 Dziedzictwo Guldenburgów (3) – serial produkcji niemieckiej
18.25 Studio lato
19.15 Dobranoc
19.30 Wiadomości
20.05 Dynastia (92) – serial produkcji USA
20.55 Kabaret Starszych Panów – Niespodziewany koniec lata
22.20 Wiadomości wieczorne
22.40 Zespół publicystyki Zapis przedstawia
23.10 Dziedzictwo Guldenburgów (3) – serial

PROGRAM II

8.40 „W labiryncie” – serial tp
9.30 Magazyn telewizji śniadaniowej
10.00 CMK
10.15 Ameryka w moich oczach
16.45 Powitanie
17.00 Ekosterss – magazyn ekologiczny
17.30 Cudowne lata (15) – „Oferty” – serial prod. USA
18.00 Program lokalny
18.30 Rebusy – teleturniej Wojciecha Pijanowskiego
19.00 M.A.S.H. – serial produkcji USA
19.30 Wielkie interpretacje
20.00 Laco Adamika fascynacja telewizją
20.45 Ostatnia karta
21.30 Panorama dnia
21.45 Sport
21.55 Dziewczyna z Mazur (3) – serial tp
22.50 Telewizja nocą

CZWARTEK

**18 lipca
PROGRAM I**

8.00 Poranny magazyn rozmaitości

9.00 Wiadomości poranne
9.10 Teleferie: Janka (7, 8) – serial
10.10 Sto lat – magazyn ubezpieczeń społecznych
10.20 Gielda pracy – giełda szans
10.40 Van der Valk (2) – serial kryminalny
12.25 Aktualności telegazety
17.00 Studio lato
17.15 Teleexpress
17.30 Studio lato
18.00 Dziedzictwo Guldenburgów (4) – serial
18.25 Studio lato
18.50 Magazyn katolicki
19.15 Dobranoc
19.30 Wiadomości
20.05 Van der Valk (2) – serial kryminalny
21.50 Goście Andrzeja Zarębskiego
22.05 Pegaz
22.35 Wiadomości wieczorne
22.55 Film muzyczno-baletowy
23.20 Dziedzictwo Guldenburgów (4) – serial

PROGRAM II

8.40 Santa Barbara
9.25 Magazyn telewizji śniadaniowej
10.00 CNN
10.15 Ameryka w moich oczach – New York
16.45 Powitanie
17.00 Gielda – Magazyn kupców i przemysłowców
17.30 Cudowne lata (16) – serial produkcji USA
18.00 Program lokalny
18.30 Magazyn 102 – Marta Klubowicz
19.00 Pod wspólnym dachem (3) – serial prod. francuskiej
19.30 W teatrze jednego aktora – film dokumentalny
20.00 Studio sport
21.00 Ekspres reporterów
21.30 Panorama dnia
21.45 Sport
21.55 Perły z lamusa: Naga dżungla – film fabularny produkcji USA
23.35 CNN

PIĄTEK

**19 lipca
PROGRAM I**

8.00 Dzień dobry – poranny magazyn rozmaitości
9.00 Wiadomości poranne
9.10 Teleferie
9.40 Kino teleferii
10.00 Szkoła dla rodziców
10.25 Janosik (3) – „W obcej skórze” – serial tp
11.10 Aktualności telegazety
17.00 Studio lato
17.15 Teleexpress
17.30 Studio lato
18.00 Dziedzictwo Guldenburgów (5) – serial
18.20 Studio lato
19.00 Od Kapitału do kapitału
19.15 Dobranoc
19.30 Wiadomości
20.05 Miasteczko Twin Peaks (12) – serial
21.00 Zespół Zapis przedstawia...
21.40 XVIII Ogólnopolskie spotkania zamkowe – Koncert laureatów
22.25 Wiadomości wieczorne
22.45 Siódemka w Jedyńce
0.20 Dziedzictwo Guldenburgów (5) – serial
0.45 BBC

PROGRAM II

7.55 Powitanie
8.00 CNN
8.10 Język angielski (10)
8.40 W labiryncie – serial tp (powtórzenie dwóch odcinków)
9.30 Magazyn telewizji śniadaniowej
10.00 CNN
10.15 Ameryka w moich oczach – Milwaukee
16.45 Powitanie
17.00 Opowieść o mieście (3) – Secesja – reportaż
17.30 Cudowne lata (17) – Nemezis – serial produkcji USA (powtórzenie)
18.00 Program regionalny
21.30 Panorama dnia
21.45 Sport
21.55 Nie zawsze musi być kawior (2) – Kuchnia francuska – serial produkcji niemieckiej
22.50 Program rozrywkowy
23.50 CNN

Restauracja „ŚWIETLIK”

Łódź, ul. Wspólna 6
tel. 34-33-21

zaprasza na:

- bankiety
- przyjęcia weselne
- obiady abonamentowe

Firma

„Maria-Deniz” – „Öz Varol”

Zaprasza

**do Turcji w każdą sobotę
Atrakcyjne wczasy
nad Morzem Egejskim**

Ceny konkurencyjne
Tel. 33-44-30, 88-11-58



Uwaga hurtownicy i detaliści

Duńskie naturalne syropy „BONANZA” w różnych smakach: kiwi, mango, ananas, malina w efektywnych kartonikach 1 l syropu na 4 l napoju. **Preferowane przez Sanepid – atest.** Bezpośredni i wyłączny importer Firma „EAST-WEST”, tel. 78-38-65, tlx 884157, fax 740221. Magazyn – Łódź, ul. Uprawna 5, czynny 8-20, tel. 55-80-63, 56-06-15 lub 32-73-50.



**AUTO SERWIS
MAREDI MB SC**

zaprasza do swoich zakładów

Zakład nr 1

Łódź, ul. Strykowska 33/43
tel. 55-56-55

- Naprawy Fiat 126p (autoryzacja)
- Blacharstwo
- Lakiernictwo
- Diagnostyka
- Przeglądy rejestracyjne

Zakład nr 2

Łódź, ul. Wieniawskiego 70a
tel. 48-73-84

- PROWADZI SPRZEDAŻ SAMOCHODÓW FSM – Fiat 126p za gotówkę i na raty
- Sprzedaż części zamiennych Fiat 126p
- Myjnia samochodów
- Komis i wypożyczalnia samochodów
- Holowanie



● Zbigniew Bujak – lider Ruchu Demokratyczno-Społecznego i towarzysz Lecha Wałęsy w walce z komunistycznym reżimem napisał list do prezydenta Lecha Wałęsy. Apeluje w nim „o przerwanie tego przynębiającego egoizmu i braku odpowiedzialności. Pozorne działania, sztuczna aktywność według wzorów sprzed lat nie poprawiają, lecz pogarszają sytuację Polski”. List ten Zbigniew Bujak postanowił wręczyć osobiście prezydentowi. Nie został przyjęty. Pozostaje skorzystać z usług Poczty Polskiej.

● Prezydent Lech Wałęsa wyraził się o „Fonice”, że produkuje się tam „patefony”. Aby więc przekonać prezydenta, że nie jest to prawda, komitet strajkowy i dyrekcja „Foniki” postanowiły wspólnie podarować Belwederowi odtwarzacz kompaktowy. Dyrektor do spraw ekonomicznych Belwederu Andrzej Kozakiewicz ujawnił, że w Belwederze nie ma płyt kompaktowych. Strajkująca załoga „Foniki” złożyła się i taką płytę kupiła. Zawieziono ją razem z odtwarzaczem do Warszawy. Czy podarunek został przyjęty? – tego jeszcze nie wiemy.

● Na zakończenie uroczystości stulecia urodzin znakomitego tancerza i choreografa Wacława Niżyńskiego wmurowano w warszawskim kościele św. Krzyża tablicę upamiętniającą stulecie chrztu Wacława i Bronisławy Niżyńskich. W ten sposób ma być ostatecznie rozstrzygnięty spór o to, czy Wacław Niżyński był Polakiem, czy też Rosjaninem, jak się nadal uważa w wielu krajach Zachodu. Organizatorzy jubileuszu złożyli też wizytę prymasowi Polski, kardynałowi Józefowi Glempowi i obdarowali go Medalem Niżyńskiego, wybitym przez Pagar. Obdarowany zrewanżował się kościelnymi wydawnictwami.

● Służba zdrowia się reformuje. Wprowadzono już odpłatność za lekarstwa. Teraz trzeba będzie płacić za wyżywienie i noclegi w sanatoriach, bo od pewnego czasu kuracjusze sam płaci za dojazd. Minister Władysław Sidorowicz poinformował dziennikarzy, że eksperymen-talnie – ale nie ujawnił gdzie tak będzie – wprowadza się specjalne bloczki do rejestracji lekarstw przepisywanych pacjentowi. Lekarze mają już nakazane, aby na jednej receptycie zapisywali tylko jeden lek. Posiadaczom „książeczek lekowych” będą przez kalkę wpisywali każdą wydaną receptę. Władysław Sidorowicz powołał się na przykład wielu krajów zachodnich, gdzie stosuje się z powodzeniem takie metody. Zapytany przez dziennikarzy, w jakich to krajach tak się dzieje? – nie potrafił podać ani jednego przykładu. Powoływanie się na przykład Zachodu jest modne, ale – jak widać – coraz mniej skuteczne. Sparzyliśmy się już na bezmyślnym małpowaniu Wschodu.

● Jeśli reforma służby zdrowia pójdzie dalej w tym kierunku, to niedługo pacjent będzie chodził do lekarza z całym podręcznym biurem. Wielu ludziom odczeka się leczyć. I to będzie oczekiwany przez ministra skutek takiej reformy.

● ZJM komentuje:
Dobra nasza – myślę sobie,
RWPG leży w grobie,
A z nią transferowe ruble,
Lecz kto kupi nasze buble?

● Sprzedano akcje browaru w Żywcu. Janusz Rewiński, prezydent Polskiej Partii Przyjaciół Piwa – upomniał się o akcje dla swojej partii i rodziny Habsburgów, którzy kiedyś byli właścicielami browaru. Minister Janusz Lewandowski odpowiedział, że rodzina Habsburgów, która przed wojną miała polskie obywatelstwo, jeśli udowodni swoje roszczenia, to otrzyma bony kapitałowe. Polska Partia Przyjaciół Piwa ani żadna inna nie otrzyma nic. Przyjaciele, czy nie, piwo muszą pić na własny rachunek.

● Wicemarszałek Sejmu RP Tadeusz Fiszbach z uporem wywoływał do zabrania głosów posłów wymienianych najpierw ich nazwisko a następnie imię. Gdyby dwa dni wcześniej oglądał w telewizji dr. Jana Miodka, to by wiedział, że jest to poważny błąd, którego język polski nie znosi. Najpierw imię, potem nazwisko! Od telewizji też można się czegoś nauczyć. O dziwo.

● Hrabia Mieczysław N. wystąpił do sądu w Łodzi o odszkodowanie od skarbu państwa w wysokości 125 miliardów złotych. Sąd nie potrafił ustalić, za co. Hrabia Mieczysław N. również. Podobno miał jakieś majątki pod Berdyczowem. Już bardzo dawno temu ustalono, że w takich wypadkach najlepiej pisać na Berdyczów.

● W piaskownicy w posesji przy ul. Wólczańskiej 144 murarze znaleźli granat bojowy „F-1” owinięty w „Express Ilustrowany” z 7 czerwca 1991 roku. Jest to granat, jaki Wojsko Polskie posiada na uzbrojeniu. Jeszcze nie udało się ustalić, skąd się tam wziął.

● Trwa bój o „Targowiska Miejskie”. Dotychczasowy dyrektor rozwiązywanego przedsiębiorstwa Wiesław Stanisławski nie przyjął odwołania i nie chciał opuścić swego gabinetu nawet wtedy, gdy przyszła z gumowymi pałkami Straż Miejska. Dyrektor likwidowanego przedsiębiorstwa uważa, że dokonuje się likwidacji sprzecznej z prawem. Czy gumowa pałka oznacza w tym sporze słabość czy siłę?

● W restauracji „Milano” wybrano „Miss Biusto w Mokrym Podkoszuku”. Do konkursu stanęło 11 panienek, które pozwoliły się oblać wodą. Wstęp kosztował 50 000 zł, butelka piwa 25 000 zł. Imprezę prowadził Michał Bunio. Następny będzie pewnie konkurs na „Miss z Mokraj Głową”.

B. M.

Karol Badziak w 1968 r.: „Można powiedzieć śmiało, że najlepszym patriotą jest komunista i najlepszym komunistą jest patriota”.

Stawanie w obronie Kościola w czasach, gdy nie tylko odzyskuje on należne mu miejsce w życiu społecznym, ale znajduje się w ofensywie, nie ma w sobie nic nagannego, choć nie należy do szczytów odwagi. Takich defensorów, wywodzących się często z pezetpeerii i kłopotliwych, ze względu na swój rodowód, dla hierarchii ma on dzisiaj dziesiątki. Z gorliwością neofitów, zacierając starannie własną przeszłość, wypatrują – mówiąc językiem Pisma Świętego – żdźbła w oku brata swego, byle tylko nie dostrzec belki w swoim własnym.

Doktor świętej teologii ks. Eugeniusz Dąbrowski, tłumacz Ewangelii św. Mateusza, skąd zaczerpnął to dość znane pouczenie, znamienne zatytułował rozdział VII: „Sądy nierozważne”. Dwa pierwsze wersy pozwolę sobie zacytować dosłownie: „Nie sądzcie, abyście nie byli sądzeni. Albowiem jakim sądem sądzicie będziecie, takim was osądzą i jaką miarą mierzyć będziecie, odmierzą wam”.

do partii po tzw. wypadkach marcowych 1968 r. (słownie: tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego ósmego).

Wkrótce po zapisaniu się do PZPR Karol Badziak, zatrudniony wówczas w „Dzienniku Łódzkim”, opublikował na łamach „Odgłosów” (nr 31 z 4 sierpnia 1968 r.) artykuł pt. „Trzydzieści srebrników”, w którym czyta- my:

„Zachodni specjaliści od dywersji ideologicznej doszli do wniosku, że jednym z najgłębszych kompleksów Polaków jest kompleks niedoświadczenia („najtrudniej jest być prokiem między swymi”). Nużę więc ten kompleks obstarzać, rozwijać i pogłębiać bronią używaną w wojnie psychologicznej. W tym konkretnym wypadku instrumentem walki ideologicznej są nagrody, premie i wyróżnienia...”

I następnie:
„Nie chciałbym być źle zrozumiany. Nie, nie zachęcam wcale polskich twórców do

leczenie zaangażowanych po stronie siły wówczas przewodniej.

Dlatego też chętniej widziałbym dzisiaj Karola Badziaka jako pokutnika niż stróża moralności i głosiciela jedynej prawdy. Ta rola po prostu mu nie przystoi. Pokutnik nie ma prawa rozdáwać razów ani tym bardziej wystawiać bliźnim fałszywego świadectwa. Powinnością jego jest posypać głowę popiołem i milczeć w pokorze.

Należy to do abecadła przyzwoitości, ale nie mnie, małuczkiemu, pouczać autora „Alfabetu Badziaka”. Ponieważ zaś dobrze jest nie być zbyt nio zadufanym, przejrzałem raz jeszcze nr 3 nowych „Odgłosów”, który posłużył felietoniście „Dziennika Łódzkiego” do oskarżeń o rozsiewanie „trupiego odoru komunistycznej propagandy”. I nie znalazłem tam nic takiego, co by mogło stanowić chociaż pozór dowodu dla takiego osądzenia. Ale nie znalazłem też kolejnego odcinka „Alfabetu” Badziaka, którego drukowania

Abecadło dla Badziaka

Zapomniał widocznie o tej przestrodze Karol Badziak, autor cyklu „Poważne żarty”, kiedy w felietonie zatytułowanym „Kundelki”, opublikowanym w sobotnim wydaniu „Dziennika Łódzkiego” z 29 czerwca br. z furją zaatakował „Odgłosy” zarzucając im, że „cuchną trupim odorem komunistycznej propagandy”. Powodem tych grubych a gniewnych słów było zacytowanie w stałym przeglądzie prasy naszego tygodnika fragmentu artykułu Jerzego Chłopeckiego z nr 22 „Prawa i Życia”, w którym snuje on rozważania na temat kosztów wizyty papieskiej. Zdaniem Karola Badziaka wybór tego akurat fragmentu miał charakter tendencyjny i do-wodził identyfikowania się „Odgłosów” z postpezetpeerowską prasą. Osobliwy to sposób rozumowania, ale jeszcze bardziej zaskakujące jest, że autor „Kundelków” chciałby widocznie reglamentować opinie, dopuszczając do druku tylko te, które uważa za słuszne. Tymczasem przeglądy prasy mają to do siebie, że muszą być zbiorem najbardziej charakterystycznych, a więc tendencyjnie wybranych fragmentów, gdyż tylko wtedy można mówić o szerokim spektrum rozmaitych poglądów, które wyrażają opinię publiczną. Podświadoma tęsknota za powrotem cenzury musi dziwić u dziennikarza usiłującego, od pewnego czasu, tak hałaśliwie wpisać się w etos „Solidarności” jest bowiem zaprzeczeniem ideałów tego ruchu.

Nawiasem mówiąc Karol Badziak zapomniał, że „Dziennik Łódzki”, sygnowany jako gazeta o 46-letniej ciągłości, jest pismem nie tylko postpezetpeerowskim, ale nawet sięga korzeniami PPR. Jerzy Borejsza, współzałożyciel Spółdzielni Wydawniczej „Czytelnik”, pierwszego edytora „DL”, był działaczem Komunistycznej Partii Polski od 1929, a w roku 1939, po zajęciu Łwowa przez bolszewików, został z poręki NKWD dyrektorem przejętego przez okupantów „Ossolineum”. Do Warszawy powrócił w mundurze I Armii WP, ale nie wstydził się wcześniej założyć mundur krasnoarmiejski, a po agresji niemieckiej, na wezwanie Stalina, ochoczo bronił Związku Radzieckiego. Jak stąd widać to, co przystoi publicystom „Tygodnika Powszechnego”, „Tygodnika Solidarność” czy „Gazety Wyborczej” (a i to tylko niektórym), brzmi mało przekonująco z tamów „Dziennika Łódzkiego”, choć byłoby niegodnie obciążać dziedzictwem PZPR dzisiejszy zespół tej gazety. Oczywiście Karol Badziak nie ma podobnych skrupułów, oskarżając „Odgłosy” o, Bóg jeden wie, jaki balast przeszłości, chociaż są tygodnikiem prywatnym, nie związanym z jakimkolwiek stronnictwem politycznym, a w stanie wojennym, jako jedyna łódzka gazeta, zostały oskarżone przez wiodącą wówczas siłę o popieranie sił antysocjalistycznych.

Paskwil wysmażony przez Badziaka na „Odgłosy” nie byłby zresztą wart odnotowania, bo jego dowodowa i poznawcza wartość jest więcej niż nikła, gdyby nie pewna, charakterystyczna tonacja. Czytamy tam bowiem: „... w spadku po socjalizmie została grupka ludzi całkowicie wykorzenionych z własnego narodu, wyobcowanych ze społeczeństwa, wynaturzonych duchowo, acz nie materialnie.”

Nieszczęsny ci nie mogą się jakoś pogodzić z tym, co się im przytrafiło, nie mogą się odnaleźć w nowej dla nich sytuacji i nawiązać zerwanych więzi z bliskimi swymi. Rozczarowani własną, niespodziewaną porażką chwytają się gorączkowo resztek wyblakłych, przechodzonych, zużytych ideałów.”

Dowiedziawszy się, że Karol Badziak został się z czerwoną legitymacją PZPR w r. 1988 (słownie: tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym ósmym), na parę miesięcy przed kompromisem Okrągłego Stołu, sięgnąłem do jego publicystyki z tych lat, kiedy wstępował

zrzekania się zaraz Nagrody Nobla. A swoją drogą... że też dotychczas żaden z naszych artystów nie potrafił odmówić przyjęcia nagrody przyznanej mu w NRF z pobudek wyraźnej judaszowych”.

Stylistyka i argumentacja cytowanego tekstu nie odbiega od tego, co drukowała wówczas prasa sympatyzująca z obozem moczarowskim, a i Karol Badziak nie osiągnął jeszcze szczytu swych publicystycznych możliwości. Jego talent moralizatora rozbłysnął w pełni w parę miesięcy później, kiedy podobnie jak dzisiaj zaczął zastanawiać się, kto jest wykończony z narodu. Artykuł „Miłość ojczyzny niejedno ma imię”, ogłoszony w nr 46 „Odgłosów” z 17 listopada 1968 r., zawiera takie prawdy:

„Przynależność do narodu jest czymś obiektywnym. Przynależność do ojczyzny jest kwestią wyboru. Naszą ojczyzną jest Polska – ziemia naszych ojców. Jej najnowocześniejszą formą istnienia jest Polska Ludowa...”

„Ojczyzna socjalistyczna jest rezultatem wielowiekowych zmagania olbrzymich rzesz ludzkich o wyzwolenie społeczne i narodowe. Socjalizm dał impuls do renesansu ojczyzny i narodu. Wprawdzie dezinterpretatorzy marksizmu usiłowali nam przez dłuższy czas wmawiać, że więzi narodowe stanowią antynomie więzi klasowych, że patriotyzm prowadzi do nacjonalizmu, że stoi w sprzeczności z internacjonalizmem. Życie dowiodło, że byli w błędzie. Przeciwwstawieniem patriotyzmu jest nihilizm narodowy, zaś przeciwwstawieniem internacjonalizmu jest ciasny nacjonalizm...”

„(...) dyskusja na temat co jest ważniejsze, co jest pierwsze socjalizm czy patriotyzm jest dyskusją werbalną. Patriotyzm i socjalizm się utożsamiały, stanowiły równorzędne wartości, nie są pojęciami alternatywnymi, zresztą w sensie marksistowskim nigdy takimi nie były. Ustrój socjalistyczny rozwikłał podstawową sprzeczność między interesami klasowymi a interesami narodowymi. Nigdy jeszcze w Polsce nie było takiej zbieżności między nimi jak obecnie. Na tym polega właśnie wyższość naszego systemu.”

Przekładając tę dialektyczną interpretację na język codziennych postaw można powiedzieć śmiało, że najlepszym patriotą jest komunista i najlepszym komunistą jest patriota. Oczywiście nie wyklucza to ani nie odbiera prawa innym do miłości ojczyzny. Tylko że patriotyzm jako taki jest kategorią moralną, polityczną, a świadomość przynależności do określonej klasy i narodu ma znaczenie ideologiczne”.

Trzeba przyznać, że nawet w tamtym okresie rzadko pojawiały się teksty równie luzoskie wobec „siły przewodniej” i tak pseudo-uczone, a przy tym pełne pogardy do myślących inaczej niż obowiązująca wówczas linia.

Nie chcę się pastwić nad Karolem Badziakiem i nie będę cytował jego innych tekstów, pełnych niepotrzebnej uszczypliwości wobec Kościola, gloryfikujących „utrwalaczy” władzy ludowej (opracował on nawet i podpisał własnym nazwiskiem książkę „Synowie Bałut” poświęconą rycerzom zaszczepiającym bagnetem ideologię marksistowską), opiekujących ORMO, obnażających Jerzego Kościńskiego „jako rzekomo polskiego pisarza”. Itp. Itd. Ukazywały się te teksty w „Dzienniku Łódzkim”, ale niestety także w „Odgłosach”, co oczywiście nie przynosi nam chwały i celowo ograniczam cytaty z Badziaka właśnie do „Odgłosów”, aby uniknąć osądzenia, że bijemy się w cudze pierś. U większości dziennikarzy pracujących w prasie PRL można znaleźć jakiś tekst, którego dziś zapewne się wstydzą, choć rzadko który publicysta minionego okresu mógłby złożyć z takich porużeń pióra książkę. Z twórczości Badziaka można zebrać opasłe tomisko utworów spo-

„Odgłosy” poniechały i zrozumiałem wówczas, że jego gniew na występny tygodnik ma całkiem racjonalne przyczyny.

„W nowej edycji czasopisma – pisze o „Odgłosach” Karol Badziak w swoim felietonie – antykościelny duch Lucjusza W. czuwa, w czym sekunduje mu zresztą jego prawowita małżonka, pozostawiona na straży starej linii „ODGŁOSÓW”, których atrapę redaktora naczelnego sprawuje Mirosław Kuliś, a jednym z sekretarzy jest w asystencji Konrad Frejdlich, przy którym kameleon to bydlę leniwe i bezbarwne”.

Karol Badziak nie ma zbyt wyszukanego stylu, jeśli więc poczułem się dotknięty, to językiem, nie porównaniem, gdyż nigdy nie gustowałem w brutalizmach. Sięgnąłem do encyklopedii i przeczytałem, że kameleony to zwinne jaszczurki, które opanowały sztukę wspina się na drzewa. W przypadku Karola Badziaka nawet na drzewce Krzyża Świętego.

Cóż, pozostaje mi tylko modlić się, aby jego gwałtowne nawrócenie było trwałe i prawdziwe.

Konrad Frejdlich

Pytania do A. Kaspirowskiego

– na wyłączność „Odgłosów”



– Co uważa pan za swój największy sukces?
– Połamanie wielu przestarzałych pojęć. Ale największym moim sukcesem jest to, że nie zdradziłem siebie samego. Analizowałem siebie i pozostałem wierny tej analizie.

– Co zamierza pan jeszcze osiągnąć w psychoterapii?

– Chciałbym osiągnąć spokój w odosobnieniu. Dlatego, że już bardzo zmęczyłem się psychoterapią. Uważam, że nie ma cięższej pracy i trudniejszego zajęcia niż psychoterapia na tak szeroką skalę. To jest samobójstwo. Chciałbym zatrzymać się i zaznać spokoju.

P.S. Korespondencję do dr. A. Kaspirowskiego prosimy nadsyłać pod adresem redakcji. Wśród nadsyłających listy rozlosowana będzie kasetka z nagraniem doktora. Prosimy o dokładne podanie adresu!

W poprzednim tygodniu wylosował kasetę Henryk Pankiewicz z Łodzi.

Jedno danie Anny – Marii

Wpada sąsiadka. Wzburzona w najwyższym stopniu. Potrzasa nerwowo zmieszoną wspólnotą sąsiadką czyli Gazetą Wyborczą.

– Anno-Mario! Ale świństwo! W MPK ostrzą kasowniki! Na mnie! Na emerytkę, żyjącą z siedmiuset złotych miesięcznej renty! Chcę mi odebrać tę parę groszy, jakie sobie przyszczędzam na przejazdach!

Przeraziłam się. Oczami wyobraźni zobaczyłam te wystrzone kasowniki. Pazurowe drapieżne, między które wkłada się wraz z palcem bilet do skasowania. A że akurat wczoraj oglądałam u znajomych horror na wideo, wyobraźnię miałam odpowiednio ukierunkowaną.

– Ja to jeszcze pół biedy! Ale co mają powiedzieć rodzinie wielodzienne? Im to się dopiero odbije na budżetach! Zwłaszcza teraz, po tych wszystkich podwyżkach! Niech pani czyta, Anno-Mario, jakie draństwo! O, tu! Tu jest napisane!

Hm. Rzeczywiście. Dużo cieższa byłaby horrorowy tytuł: W MPK OSTRZA KASOWNIKI. I dalej, już znormalizowaną, że 40 procent lodzian jeździ na gapę. I że w tym roku kontrolerzy podczas zaledwie sześciu miesięcy przydybali 69 tysięcy gapowiczów. Więc w związku z powyższym dyrekcja łódzkiego MPK planuje nie tylko zwiększyć liczbę kontrolerów, lecz także zainstalować zupełnie nowy typ kasowników. Albo „elektryczne”, działające na zasadzie karty kredytowej; albo „poznające”, które wybierają na bilecie datę i dokładną godzinę, albo „mieleczki”, które pozwolą się blokować w trakcie przeprowadzania kontroli.

Hm, rzeczywiście, niewesoła perspektywa. Jeśli wprowadzą nowy typ kasowników – a zwłaszcza owe „elektryczne” i „poznające” prezentują się złowieszczo – to koniec z wdroną tak powszechnie i masowo racjonalizatorską metodą w dziedzinie odzysków jednorazowych biletów komunikacji miejskiej.

Metoda, jak wszystkie genialne pomysły, jest niezwykle, wręcz infantylnie prosta; tak prosta, że rzuca człowieka na kolana. Ba! ale

na takich prostych a genialnych pomysłach polegał cały postęp ludzkości, i gdyby nie one, ciągle jeszcze siedzielibyśmy po jaskiniach. Archimedes swoje prawo o wyporności odkrył siedząc w wannie. Newton prawo o ziemskim przyciąganiu wyłącznie dlatego, że usiadł pod jabłonią i dostał spadającym jabłkiem w głowę. Do powstania słynnego E m² Einsteina podobno przyczyniła się jego własna żona, która w domowych swarach wszelkie argumenty przeciw osobie przyszłego wielkiego Alberta zbijiała powiedzeniem: Mów co chcesz, a ja i

Pieniądz do przeprosowania

tak wiem, że wszystko na tym świecie jest względne.

Metoda odzysku biletów komunikacyjnych na wszelkie linie tramwajowe tudzież autobusowe z pośpieszonymi włączniami wymaga: koca do prasowania, czystej, zwilżonej wodą chusteczki do nosa i żelazka. Bilet ma być używany rozkładając się na kocu, a następnie prasując poprzeczką zwilżoną chusteczką delikatnie niezbyt gorącym żelazkiem (uwaga! nie przyżółcić!), ruchem zgodnym z kierunkiem wybiecia dziurki przez kasownik. Ząbki lub kółeczka (w zależności od wzorków kasownika) wskakują na swoje miejsca, zgrzewają się z brzegami dziurki i oto otrzymuje się bilet jak nowy. Osobiście znam takich, którzy w odprasowywaniu biletów doszli do takiej perfekcji, że mogą odprasowywać je trzykrotnie.

Niestety, autor tej rewelacyjnej metody odzysków pozostaje anonimowy. Podejrzewam, że musiał on mieć coś wspólnego z prasowaniem. Po prostu, panowie z MPK ot, kobyta! Bo kto wam, panowie prasuje koszulki? a odświeża żelazkiem przez wilgotną ściereczkę właśnie: wasze spodnie? marynary?

O istnieniu tej metody dowiedziałam się zupełnie niedawno, kiedy spotkałam na przystanku tramwajowym znajomą, pracownicę zbierającą porzucane wszędzie bilety MPK. Schylała się i schylała, a każdy pieczołowitym, nieomal milosnym ruchem chowała do portmonetki. Przyglądałam się jej ze ściśniętym sercem. Wiedziałam, że życie ma nielekkie, wdowa, która wychowuje dwojkę licealistów obdarzonych wspaniałymi apetytami, więc do swojej inteligentnej pensji (bibliotekoznawca) dorabia szyjąc na fuczniku (nielegalnie dla prywatnej firmy) ocieplane kurtki, lecz dotąd trzymała się dzielnie, zachowując pełną równowagę umysłu i nawet wykazując umiarkowany optymizm. Mówiła zresztą, że nie ma wybo-

waju wsiadałam o drżących z lekka nogach. A jeśli wpadnie kontroler, i ja wpadnę na tym prasowanym odzysku? Ludzie zaczną się na mnie gapić. Kontroler zażąda dowodu, a tam: Anna-Maria, dziennikarz. Oj, nie wypada ci, Anno-Mario, niestety. To co: kasować prasowany czy jednorazowy, legalny?

Takie oto targaty mną wątpliwości. Nie tyle natury etycznej, ile natury technicznej. Jak u Fredry: „i chciałyby i boję się”. Wyszło ostatecznie, że chociaż chciałabym to za bardzo się boję.

Ale łódzkie MPK nie boi się nikogo. Właśnie wprowadziło tak zwany czas letni. Swoją czas letni, bo kalendaryzowy to my przecież mamy od 21 czerwca. Czas letni według MPK

ru: ze względu na synów nie może ani zwirować, ani dostać zawatu, ani wyskoczyć oknem. A tu teraz podnosi z chodnika śmieci i mruczy: o, jeszcze jedno tysiąc dwieście i jeszcze jedno.

– Nie, Anno-Mario, nie oszalałam – szepnęła mi konspiracyjnie – bo ja to w domu prasuję. Zdasz sobie sprawę, jaka oszczędność dla mojej rodziny? Często i z trzydziści nabieram. W ciągu jednego dnia. Trzydzięci, rozumiesz, porzuczonych tysięcy dwieście. O, spójrz: kolejne tysiąc dwieście... – podniosła – E... tylko sześćset, ale też dobry czysty, żywy pieniądz do przeprosowania.

Powróciłam do domu, wstrząśnięta do głębi tym obrazem rozpadu osobowości mojej znajomej. Udałam się do sąsiadki po środki uspokajające. Ta, nalewając na łyżkę hydroxyzinum, popatrzyła na mnie z politowaniem: Ależ, Anno-Mario! Ja bilety prasuję już od drugiej podwyżki. Toż wszyscy w naszym bloku prasują. I w okolicy. I wszędzie.

Udostępniła mi technologię. Faktycznie: produkt niemal doskonały. Poprasowałam wszystkie, odnalezione po kieszeniach. Do tram-

polega na tym, że autobusy jeżdżą według zmienionego, letniego rozkładu jazdy z letnią częstotliwością. Jeden na czterdzieści minut. Ten pośpieszny za dwa czterysta również. Jeżdżą z rzadka, czeka się na nie długo, ale płaci w nich tyle samo, co w tych normalnych, nie letnich. Widocznie MPK uznało, że Łódź się wyłudniła z powodu lata, albo że już wszystkie fabryki zbankrutowały i wszyscy pracownicy przeszli na garnuszek ministra Boniego. Nie muszą do pracy, ani z pracy.

Doczytuje w Gazecie o tych ostrzających się kasownikach. Ach, powiadam do sąsiadki, niech się pani nie zamartwia, to na razie wyłącznie plany. MPK nie ma pieniędzy na zakup nowych kasowników. Wynika, że nie ma pieniędzy na nic, ani na zakup taboru, ani na opłacenie podatków, ani na wyplatę dla pracowników...

– O, matko święta – mówi z przerażeniem sąsiadka – więc ani chybi znów będzie nowa podwyżka za bilety.

O, matko, ani chybi – ma rację.

Anna-Maria

E. L. Skalnik Z tygodnia na tydzień (6)

Energicznym ruchem nóg pozzruciała pantofle i bosy poszła do kuchni. Torby postawiła na stole, usiadła, podparła się rękoma i rozdzierając zaszlochała. Jadwiga wróciła z pracy przed kilkoma minutami, przebrała się i miała zamiar na chwilę położyć się, gdy usłyszała płacz w kuchni. Józefa też to usłyszała, chciała szybko czymś zająć dzieci, ale Damian był szybszy, podbiegł do drzwi, zajrzał do kuchni i wrócił z wiadomością: – Mama płacze! – Bube to nic nie interesowało. Starannie ustawiała klocki. Józefa kazała dzieciom dalej się bawić i sama poszła do kuchni.

„Kochany Mareczku! O mnie się nie martw. Nic mi nie jest. Wróć do zdrowia. Odezwę się. Renatka”.

– To jeszcze nic nie znaczy – powiedziała oddając kartkę.

– Mogła to być jakaś znajoma z uczelni.

– Niech mama da spokój. Nie ma co mnie pocieszać.

– Zrobię wam herbaty – powiedziała Józefa i podeszła do kuchni.

– Możesz nam opowiedzieć po kolei, jak i co się stało? – zapytała Jadwiga.

Trzy pokoje z kuchnią w starym budownictwie

– To już koniec – kręciła Anita. – To już koniec.

– Z czym koniec? – zapytała Jadwiga.

– Z nami – szlochała Anita. – Z moimi biednymi sierotkami. Co teraz będzie? Co ja chciała zrobić?

– Co się stało? – nie dawała za wygraną Jadwiga.

– Z Markiem koniec.

– Nie żyje? Umarł? – przeraziła się Jadwiga.

Anita na chwilę oprzytomniała.

– Co? – zapytała bez sensu. – Umarł? Nie żyje. Ma tylko nogę złamaną. Jest w szpitalu.

Józefa stała milcząca. Damian objął ją za nogę i z ciekawością patrzył na płaczącą matkę. Jadwiga odetchnęła. Uspokoiła się.

– Anita – powiedziała stanowczym tonem – czy możesz wyjaśnić, co się właściwie stało?

Anita kiwnęła głową. Wyjęła z torebki chusteczkę i zaczęła wycierać rozmazany tusz na twarzy. Chlipnęła jeszcze kilka razy i już spokojniej zaczęła mówić.

– Marek wpadł na samochód. Ma złamaną nogę. Ale on nie jechał sam.

– A z kim? – nieoczekiwanie zapytała Józefa.

– Z dziewczyną – wykrzyknęła Anita. – Tak, żebyście wiedziały, z dziewczyną.

– Anita! – skarciła ją Józefa. A do Damiana: – Damianku, idź do waszego pokoju. Idź!

Damian ociągał się, ale poszedł.

– Skąd wiesz o tym? – szok opadł i Jadwiga znów mówiła spokojnym głosem.

– Stąd – Anita sięgnęła do torebki i wyjęła zmiętą kartkę.

– Leżała na stoliku. Nawet nie próbował ukryć, ani się nie tłumaczył. To już koniec! I co ja teraz zrobię? – znów się rozplakata.

Józefa wzięła kartkę i zaczęła czytać. Potem podała Jadwidze.

Anita znów kiwnęła głową. Wytarła oczy.

– Jechali Tuwima, od wiaduktu. Skąd on tam się wziął? Przecież policjantka jest gdzie indziej. Przecież nim jechała ciężarówka. Z Wysokiej wyjechała furgonetka. Ciężarówka uderzyła w bok furgonetki. Kierowcom nic się nie stało, ale pasażer furgonetki zginął na miejscu. Marek jechał za ciężarówką. Musiał też jechać szybko. Nie zdążył wyhamować i wpadł na ciężarówkę.

– A dziewczyna? – spytała Jadwiga.

– Nic jej się nie stało. Potłuczona i podrapana. Złożyli opatrunki i wysłali do domu.

– A samochód? – zapytał starszy pan, który od dłuższej chwili stał w drzwiach i przysłuchiwał się temu, co działo się w kuchni. Wszystkie trzy kobiety spojrzały na niego.

– Słyszał ojciec? – zapytała Jadwiga.

Kiwnął głową i powtórzył pytanie: – Co z samochodem?

Anita wzruszyła ramionami.

– Teraz mi akurat samochód w głowie. Rozbity. Trzeba będzie na policję jutro pójść. Oni go zabrali.

– No dobrze – podsumował starszy pan. – Trzeba było jej wcześniej powiedzieć. Ale już się dowiedzieli.

– Chcesz herbaty? – zapytała Józefa.

– Tak.

– O czym wy mówicie? – Jadwiga nie mogła ukryć zaskoczenia. Anita też patrzyła na dziadka szeroko rozwartymi oczyma.

– Co dziadek chce powiedzieć? Że dziadek wiedział?

Józefa rozstawiła szklanki z herbatą.

– Oj, stary, zawsze musisz wyskoczyć z czymś. Władze, jak ten Piłat w kredo.

Jadwiga nasypała cukru, usiadła przy stole i zaczęła mieszać łyżeczką w szklance.

tam jakieś krzyki; do kuchni wpadła jak bomba kobieta postawna, grubawa, w beżowym, jakby przyciasnym kostiumie. W rękę trzymała dużą skórzaną torbę. Szybkim spojrzeniem obrzuciła zgromadzonych w kuchni. Jej wzrok zatrzymał się na zapłakanej Anicie.

– No i co teraz będzie? – rzuciła pytanie w jej stronę.

Anita podniosła się z krzesła i patrzyła na przybyłą z osłupieniem.

– No, co pani tak patrzy? Zamurowało panią, czy co?

– Kim pani jest i o co pani chodzi? – spokojnie spytała Anita.

Nieznaną trochę się zmieszała.

– Jaszczurka jestem. Matka Renatki. No, wie pani chyba. Pytam, co będzie z moją córką?

Nikt z obecnych nie mógł pojąć, o co tu może chodzić.

– Przecież pani córce założono opatrunki i wróciła do domu. O co więc chodzi?

Jaszczurka spojrzała na Jadwigę z obrzydzeniem, Czego się wtrąca? Ale, jak już chce, to ona im teraz pokaże.

– O co chodzi? – wzięła się pod boki. – O przyszłość mojej córki chodzi. Uwodził ją, samochodem, jak tam samochód?, maluchem ją woził, czego jej nie naobiecował? Dziś mi się dziecko do wszystkiego przyznało. No i okazało się, że ma żonę, a może jeszcze i dzieci?

Wreszcie do Anity dotarło. Ten bubek prowadził całą grę. Kiedy on to robił? Mniejsza o to. Wielu żonom zdarza się, że mężowie jej oszukują. Jej też się zdarzyło. Marka to ona może kopnąć w dupę. Ale dzieci! O nie. Dzieciom nie da zabrać ojca byle pierwszej kurwie. Nic z tego.

– A ma! – powiedziała. – Buba, Damian! Chodźcie no tu. Niech pani sobie was obejrzy.

– Anita! Nie wygłupiaj się! – rozkazał starszy

pan. I do żony: – Zatrzymaj dzieci! – Proszę pani! – zwrócił się do Jaszczurki.

Jaszczurka straciła cały swój tupet. Gdy zobaczyła zapłakaną Anitę, bez pantofli, rozkładając się nad kuchennym stołem, pomyślała sobie, że załatwi tę wywłokę. Rozwiedziła ją z tym łobuzem i wyda go za Renatkę. Nie takie już kombinacje w życiu robiła. Wszystko wydawało się jej łatwe. Zrobi awanturę, szast, prast, ludzie zgłupieją i Jaszczurka, jak zwykle będzie na górze. Ale gdy w Anicie zaszła zmiana, gdy jak lwica stanęła w obronie swoich małych, rzecz się skomplikowała. I na dodatek ten staruch z laską, Czego ten chce? Spojrzała na starszego pana.

– Proszę pani! – kontynuował spokojnie. – Nie lubię wtrącać się w cudze interesy. Ale myślę, że byłoby dobrze, gdyby pani sobie poszła. To nie pora, ani czas, na takie rozmowy. Mam nadzieję, że pani córka jest pełnoletnia i jeszcze nie zdążyła zająć w ciąży. Marek też jest pełnoletni. Ale ma obowiązki. Jak wróci ze szpitala, to razem z żoną zastanowią się, co dalej.

– No, wie pan! – Jaszczurka nie mogła powstrzymać oburzenia. – Moja Renatka w ciąży. Też coś! Taka głupia, to ona nie jest, żeby zaraz sobie dała zrobić dzieciaka.

– To się dobrze składa – powiedział starszy pan. – Ale teraz nie jest pora na takie rozmowy. Żegnamy panią!

– Dobrze, dobrze. Już sobie pójdę. Ale nie myślcie, że na tym się skończy. Nie dam skrzywdzić mego dziecka!

– Ani ja moich – odkrzyknęła jej Anita.

Józefa niemal siłą wypychała Jaszczurkę, która chciała koniecznie coś odpowiedzieć Anicie. Zamknęła drzwi i wróciła do kuchni.

– Jak to powiedzieć Heńkowi? – zafrasowała się.

– Normalnie – Jadwiga wzruszyła ramionami. – Miał wypadek i jest w szpitalu. Tylko tyle.

– To dobrze – spojrzeła na córkę – bo o tej dziewczynie nie trzeba.

Jadwiga patrzyła gdzieś daleko przed siebie.

– Taak – powiedziała w zamyśleniu. – Jedno zmartwienie już mamy. Ciężko Joanny.

Anicie szklanka wypadła z ręki. Szklko rozspalało się po stole. Resztką herbaty rozlała się brunatną plamą. Józefa sięgnęła po ściereczkę, żeby plamę wytrzeć.

– Czy ja dobrze słyszałam? Pewnie z tym niedojdą Tomkiem. Musi zrobić skrobankę!

– Ona nie chce i nie mówi z kim – wyjaśniła spokojnie Jadwiga.

Znów dzwonek u drzwi.

– Kogo diabli niosą? – Anita zerwała się i pobiegła otworzyć. Przed drzwiami stał młody, przystojny blondyn, w rękę trzymał koperkę, a u jego nog stała walizka.

– Jestem Jacek Wiaderkiewicz – powiedział i wyciągnął rękę z listem.

– Pomyłka! – krzyknęła Anita i zatrzasnęła mu drzwi przed nosem. Mężczyzna popatrzył na list, na drzwi. Zgadzało się. Zadzwoił ponownie. Tym razem otworzył mu starszy pan.

– Jestem Jacek Wiaderkiewicz, przyjechałem z listem do pana Henryka Domagalika. Czy...

– W porządku! – powiedział starszy pan. – Proszę wejść!

Cdn.

Inicjacja seksualna wywiera głęboki wpływ na całe życie emocjonalne człowieka. Maria z powieści Johna L. Cocka wcześniej przełamuje tabu odmienności płci w okolicznościach na tyle niezwykłych, że później wszystko jest już uprawnione. Misterium zmysłowej miłości, w które wprowadza ją porywacz George, brzydki, podtatuśnię mężczyzna stanie się kluczem do zrozumienia jej orgiastycznych tęsknot, nigdy też, jako dorosła kobieta, właściwie nie dozna spełnienia. To psychiczne piętno czyni z niej postać głęboko tragiczną, daremnie poszukującą szczęścia czy choćby fizycznej tylko bliskości.

Wplatając w narrację Jerry'ego Dorna spowiedź Marii, której fragmenty pragniemy zaprezentować czytelnikowi, składa John L. Cock dowód ogromnej odwagi. Przejycia, o których opowiada, rzadko stają się przedmiotem analizy literackiej, należą bowiem bardziej do dziedziny psychopatologii sądowej.

kf

Ponieważ zamożność Tatusia była szeroko znana, zawsze obawiał się porywaczy. Pewnego dnia stało się to, czego się Tatus obawiał. Szłam sobie myśląc o rzeczach, o których zwykle myślą dziewczynki wracające ze szkoły do domu, kiedy nagle podjechał do mnie samochód, drzwiczki się otworzyły i za-

Maria, czyli kwadratura seksu

nim pojąłem, co się stało, znajdowałam się już wewnątrz auta, z workiem zarzuconym na głowę i strzykawką wbita w pośladek.

Obudziłam się w łóżku, w mrocznym pokoju. Nigdy tego pokoju nie zapomnę. Wyglądał jak ze snu, tak zupełnie był pozbawiony charakteru; nie miał okien, tylko dwoje drzwi, ściany pomalowane były na szaro i pozbawione wszelkich ozdób. Na umeblowanie składało się łóżko, takie jak to, które widuję w motelach, i krzesło. Myślę, że ściany musiały być dźwiękoszczelne, ponieważ nie mogłam usłyszeć żadnego odgłosu dobiegającego z zewnątrz. Mogłam równie dobrze znajdować się o miliony kilometrów od domu, jak i tuż za rogiem.

Kiedy się obudziłam po raz wtóry, zobaczyłam na krześle mężczyznę, który przyglądał mi się uważnie. W pierwszej chwili pomyślałam, że to już rano i że muszę wstać i iść do szkoły; ale widok tego człowieka przypominał mi co się zdarzyło, opadłam więc na poduszkę i spytałam: *Kim jesteś?*

Uśmiechnął się, a potem powiedział: *Jestem George. A ty jesteś Maria.*

Wyrzuciłam oczy ze zdumienia. W moim otoczeniu nie było nigdy nikogo podobnego do tego człowieka. Był wielki i brzydki, ubranie pękło na nim w szwach.

– *Co tu robisz?* – spytałam. – *Nie znam cię.*

Kiedy się uśmiechał, jego twarz stawała się jeszcze brzydsza, toteż marzyłam, żeby się przestał uśmiechać.

– *Ale ja znam ciebie* – powiedział. – *Czy to nie wystarczy?*

– *Nie* – odpowiedziałam. – *Ja chcę do domu.*

Potrząsnął głową i powiedział poważnym głosem:

– *Obawiam się Mario, że to trochę potrwa. Ale nie martw się, wrócisz do domu. Nie martw się ani przez chwilę.*

Nie wspominałam jeszcze o jego głosie, dziwnym u człowieka o takim wzroście. Był to głos wysoki i cichy, kiedy można było oczekiwać niskiego i donośnego. Od czasu do czasu doznawało w nim chrapliwe warknięcie, jakby go przeszył ból gardła.

Oparł się głębiej na krześle i dotknął ręką mojej nogi.

– *Nie wpadaj w histerię, Mario* – powiedział. – *Będę się tobą opiekował. Stary George nie pozwoli, aby się stało coś złego.*

Wysunęłam nogę spod jego dłoni, mimo iż byłam okryta prześcieradłem. Jego niebieskie oczy spochmurniały, jakbym mu zrobiła przykrość.

– *Nie jesteś głodna?* – zapytał z nagłym ożywieniem, jego głos stał się jeszcze cięszyszy z podniecenia.

– *Nie* – odparłam. – *Boli mnie brzuch.*

Pochylił się nade mną.

– *Wiem, czego ci trzeba. Zaraz wrócę.*

Zostawił mnie samą, usłyszałam odgłos kłucza przekręcane go w zamku. Leżałam chwilę dygocąc, aż mój żołądek zakipiłał, zdarłam z siebie prześcieradło i wybiegłam do łazienki. Dopiero kiedy mi ulżyło, spostrzegłam, w co jestem ubrana. Miałam na sobie lekką bawelnianą koszulę nocną, długą aż do stóp. I oto, co mi dał George jako całe odzienie, w tym zimnym pokoju. Koszulka była w małe niebieskie kwiatki.

Podniosłam głowę na odgłos otwieranych drzwi i zobaczyłam w nich George'a. Opuściłam koszulkę do stóp i ścisnęłam kolana. Znowu dostałam dreszczy, przestraszona i zawstydzona, że przylapał mnie na kiblu.

– *Wszystko w porządku* – powiedział. – *Wcale nie patrzę. Przyniosłem ci szklankę ciepłego mleka. To ci dobrze zrobi na żółądek. Przekonasz się.*

– *Wyjdź stąd* – powiedziałam. – *Wyjdź stąd, natychmiast.*

Wyszedł. Ale wiedząc, że nie opuścił pokoju, próbowałam przeczeć. W końcu, kiedy nie mogłam już dłużej wysiedzieć na kiblu, podkraśliłam się pod drzwi. Siedział spokojnie na krześle, trzymając szklankę w ogromnym łapsku.

– *Potóż się teraz do łóżka i wypij mleko* – powiedział łagodnie, kiedy mnie spostrzegł. – *Zaraz poczujesz się lepiej.*

Nie chcąc się do niego zbliżyć, wślizgnęłam się do łóżka od drugiej strony. Czulałam się tak słaba, że posłusznie wypilam mleko, kiedy mi je podsunął.

Nie wiedziałam, czy to głęboka noc, czy wczesny rano, ponieważ zastrzyk, który mi dano, zerwał mi film. Miałam uczucie, że jestem zawieszona w czasie, że gdzieś zupełnie zgubiłam tę miłą, szczęśliwą dziewczynkę, którą byłam jeszcze wczoraj. A może to było przedwczoraj albo tydzień temu? Pograżona w tej otchłani nie mogłam uwierzyć zapewnieniom George'a, że jeszcze kiedykolwiek zobaczę Tatusia.

Trwałam w takim stanie godzinami, nawet byłam już tak zmęczona, że wprost nie mogłam go znieść. Oczy nie chciały mi się zamykać, George przyglądał do mnie co kilka minut coraz bardziej strapiony. Za którymś razem podał mi ze szklanką mleka pigułkę do przelknięcia. Wiedziałam, że to środek uspokajający, więc wzięłam ją chętnie, pragnąc zasnąć.

Kiedy się okazało, że środek nie skutkuje,

że chce dotknąć dokładnie między nogami miejsca, na którego punkcie dorosli są tacy śmieszni. Nie mogłam tylko zrozumieć, dlaczego miałoby to mnie ukoić, zwłaszcza kiedy byłam tak przestraszona, osamotniona i chora jak wtedy.

Czulałam, jak nogi mi się zaciskają przywierając szczerze jedna do drugiej – i czulałam ciężar wielkiej, mocnej dłoni już powyżej kolana, obejmującej moją nogę, niezbyt mocno, tak aby móc przeslizgiwać się wokół obwodu mego uda.

Milczał. Było ciemno i nie mogłam go widzieć. Mogłam tylko czuć jego dłoń przesuwającą się po moim udzie, centymetr po centymetrze, tak jakby chciała schwytać spłoszonego królika miotającego się między mymi nogami.

Potem jego palec odnalazł moją małą szczerelinę, nacisnął ją delikatnie, wślizgnął się w nią. Zadrżałam. Wymazałam go z siebie, ogromnego, wstrętnego chlopa imieniem George, skupiając się jedynie na jego palcu. Bo palec był miłą dobrocią. Nie szturchał, nie dźgał, ani nie ranił, tylko muskał, muskał i muskał, ledwie dotykając, aż nogi rozluźniły mi się ze skurczu. Ułożyłam się na łóżku tak, aby jego dłoń mogła mi ciepło nakryć kroczę, środkowy palec miękko tkwił w nim nadal.

– *No, czy ci nie jest przyjemnie?* – głos George'a nabrał miękkości szepotu. – *Czy to nie miło tak leżeć wygodnie, przytulnie, sennie w łóżeczku?*

Mówił dalej, dostrajając rytm głosu do rytmu palca i było tak jak obiecywał, tak ciepło,

sprawa między dwójgim ludzi, którzy się lubią. Ty lubisz przebieg starego George'a, prawda? Bo on cię lubi.

– *Zaczynam go lubić* – odpowiedziałam – *mimo iż trzymasz mnie ciągle z dala od domu. Jesteś bardzo miłym człowiekiem, George. Troszczysz się tak czule o kogoś, kto czuje się źle.*

Poruszyłam się na łóżku, pragnąc to wypowiedzieć. I zdobyłam się na słowa:

– *Czy zechciałbyś to zrobić znowu, George? Teraz, zaraz?*

Zdumiał się i zaczerwienił:

– *Teraz? Ale... Ale ty nie pójdziesz spać teraz. I już nie jesteś zalekciona.*

– *Przecież powiedziałeś, że t... się robi nie tylko na sen.*

Zerwał się z krzesła szybciej niż mogłabym przypuścić, że człowiek o takiej tuszy może się uprawić w ruch i schylił po tace.

– *Ide zmyć naczynta* – powiedział krótko.

Zniknął, zanim zdążyłam wyrzec słowo. Rozglądałam się po pokoju zastanawiając, dlaczego uciekł tak szybko. Nieśmiało dotknęłam dłonią swego kroczka, wetknęłam palec w jego rozszczepienie: tak jak to George robił wczoraj, muskałam je starając się przywołać na pamięć wczorajsze doznania.

Było mi fajnie. Ale nie mogłam wzbudzić w sobie tej wspaniałej słodyczy, którą wywoływał we mnie palec George'a, więc prędko przestałam.

Kiedy George znowu się wreszcie pojawił, uniósłam się na łóżku.

– *Pewnie już głodna, co?* – zapytał.

Potwierdziłam. Uśmiechnął się:

– *Tak też myślałem. Wszystko już gotowe.*

Tym razem jadał wraz ze mną. Mnie przyniósł na tacy dużego hamburgera, frytki, zieloną fasolkę.

– *Ale kiedy nadejdzie czas, odstawisz mnie do domu, prawda?* – spytałam grzecznie. – *Tatus nie ma właściwie powodu, żeby się martwić.*

– *Jak tylko za ciebie zapłaci.* – George przerwał nagle.

Podniosłam się gwałtownie, niemal zerwałam z łóżka:

– *Zapłaci? To Tatus ma zapłacić, żeby mnie odzyskać?*

Zabrał tacę i wyszedł z pokoju. Bałam się, że znowu zniknie na długo, ale wrócił niemal natychmiast. Leżałam w łóżku, z nogami nie tak zaciśniętymi jak przedtem, lecz rozłożonymi luzno, jakby w oczekiwaniu. Patrzyłam na niego przez chwilę, kiedy siadał na krześle.

– *Chcesz, żebym została trochę z tobą?*

– *Tak, George* – poruszyłam się na łóżku. – *Zostań, proszę.*

– *Chcesz, żebym ci opowiedział jakąś bajkę?*

– *Nie, spać mi się chce* – osunęłam się głębiej pod pościel i czekałam. Ale on nadal siedział na krześle. Zniecierpliwiałam się: – *George, robisz się senna. Czy nie mógłbyś mi...*

Udawał, że nie rozumie, o co mi chodzi. Ale rozumiał dokładnie.

– *No to zaśnij. Zostanę przy tobie aż zaśniesz.*

– *George* – powiedziałam.

Siedział spokojnie jeszcze przez chwilę, która trwała jakby była godzina. A potem powiedział poważnie:

– *Mario, teraz ci tego naprawdę nie potrzeba.*

– *Ale ja tego chcę.*

Gwałtownie potrząsnął głową.

– *Nie chcę cię skrzywdzić, Mario. Przeze mnie nie spadnie ci włos z głowy.* – Zamilkł na chwilę. – *Nawet, jeśli twój tatus odmówi nam pieniędzy.*

Zirykowała mnie jego głupota.

– *Ale ty mnie nie kłamałeś, George. Przekornie, sprawiasz mi przyjemność. Chodź tutaj, chodź, proszę.*

Nie mogłam już znieść ani chwili oczekiwania. Zdarłam z siebie prześcieradło jedną ręką, a drugą wysoko zdarłam koszulkę. Zdzęłam jego nieruchomą rękę z kolan i ułożyłam ją sobie między nogami.

– *No już, George, już.*

Najpierw poczułam tylko drżenie jego dłoni. Potem odwrócił ją łagodnie, jego środkowy palec odnalazł moją szczerelinę. Zwinęłam się na łóżku rozwierając kolana, aby się dla niego otworzyły.

– *George, kocham cię. Czy wiesz, że cię kocham?*

Wypowiedziałam te słowa, ponieważ patrzyłam na jego twarz – tym razem nie zdążył zgasić światła – i widziałam, jaką rozkosz sprawia mu dotykanie mnie. Leżałam na poduszce, miękka i senna. Czulałam wilgoć w sobie, jej powolny napływ gdzieś z głębi, a jednocześnie jakby wzdłuż kręgosłupa zbierało we mnie napięcie. On również mi się przypatrywał i to mi sprawiło przyjemność, aż poczułam, że nie mogę się już opanować i nagle zwinęłam się cała jakby stawiając opór jego naciskowi. Odczułam w sobie mały wybuch, coś rozlało się we mnie jak gorący syrop, którym polewa się ciasto. Leżałam teraz spokojnie, odprężona i rozgrzana. Było mi dobrze.

Cdn.



Rys. Dariusz Romanowicz

George zaczął do mnie łagodnie przemawiać, nie mówiąc nic szczególnego, po prostu monotonnie wypowiadając słowa.

Było zupełnie ciemno, ponieważ zgasił górną lampę, która stanowiła jedyne wyposażenie pokoju. Leżałam na plecach, wpatrując się szeroko otwartymi oczyma w ciemność i czekając, aż żołądek zbuntuje się znowu, kiedy poczułam jego rękę pod prześcieradłem. Naprężyłam się. Dłoń błądziła po omacu, odnalazła moją nogę, zmierzała w stronę kroczka.

Zadrżałam. – *Nie wolno ci mnie dotykać* – wyrzekałam trzęsącym się głosem.

– *Nie skrzywdzę cię* – powiedział. – *Nie bój się, Mario. Nie skrzywdzę cię za nic na świecie.*

Trzęsłam się cała.

– *Tatus zawsze mi mówił, żebym nikomu nie pozwalała się dotykać. Zwłaszcza tam* – mówiłam do słabym, bezbronnym głosikiem, wiedząc, że nie ma sposobu powstrzymać George'a, jeśli on sam nie zechce zostać powstrzymany.

– *Tatus miał rację* – potwierdził George. Podniósł się z krzesła, jego dłoń pozostawiła swój ciężar na mojej nodze, a łóżko ugięło się, kiedy przysiadł na jego skraju. – *Ale ty teraz potrzebujesz snu, albo staniesz się bardzo chorą małą dziewczynką. Więc ja się staram utulić cię do snu.*

Pamiętajcie, że miałam niewiele lat. Wszystko co wiedziałam o sobie, to tyle, że nie należy się tam dotykać i nie wolno pozwolić obcom, aby mnie tam dotykali. Myślę, że jest to pierwsza rzecz, jakiej uczy dziewczynki.

Ale byłam też zaciekawiona. Wiedziałam,

miękko, kojąco. Ciepło zalało mnie całą przywracając mi siły, tak dawno utracone, że już zapomniane. Powieki stawały się z minuty na minutę cięższe i chciałam powiedzieć: „Dziękuję ci, George”, ale byłam tak senna, że nie mogłam wyrzec słowa i zapadłam w sen.

Nie wiem, jak długo spałam, ani też o jakiej porze dnia czy też nocy się obudziłam. Ale nawet kiedy dotarło do mojej świadomości, że wciąż znajduję się w tym dziwnym pokoju jakby ze snu i że nadal dzieją się te dziwne rzeczy, które mnie rozłączyły z Tatusiem, poczułam się tak jak zwykle.

Nigdy się sobą nie zabawiałam ani nie przypatrywałam żadnym częściom ciała, ponieważ moja niania zawsze odnosiła się bardzo surowo do wszelkich przejawów zainteresowania sobą. Na ile moge powiedzieć, wedle mej najlepszej wiedzy, palec George'a nie odmiął mi w żaden sposób, choć sądziłam, że powinna się pojawić jakaś dostrzegalna różnica.

Leżałam już bezpiecznie w łóżku, kiedy stanął w drzwiach niosąc tacę ze śniadaniem. – *No i co ty na to?* – spytał, kładąc mi ją na kolanach.

Byłam tak zgłodniała, że nie zdążyłam mu odpowiedzieć, tylko rzuciłam się na placki kukurydzy. Nie dojadłam tylko małych kawałków grzanek.

Zabrał z łóżka tacę.

– *No, grzeczna dziewczynka. Tak myślałem, że potrzebujesz dobrze przespanej nocy, aby dojść do siebie.*

Spojrzałam mu w oczy:

– *George, czy mogę... czy mogłabym teraz wrócić do domu?*

Jego wzrok ześlizgnął się ze mnie. – *Jeszcze nie w tej chwili* – odpowiedział. – *Jest trochę kłopotów – uśmiechnął się przepraszająco. – Ale czy ci tu źle ze starym Georgem? Czy cię nie traktuję należąco?*

– *Tak* – przypatrywałam mu się uważnie. – *Ale wszyscy mi zawsze mówili, że to brzydko tak robić.*

George nagle spoważniał i przez dłuższą chwilę patrzył na mnie z wyrzutem. Przypatrując mu się ciągle, spostrzegłam, że się boi. Był teraz spłoszony bardziej niż ja byłam pięć lat temu.

– *Tak mi mówiła moja niania, powtarzała to tysiące razy* – dodałam poważnie. – *Dziewczyzna nigdy, nigdy nie powinna pozwolić nikomu dotykać się między nogami. Zwłaszcza obcemu. To jest brzydkie, mówiła, tak brzydkie, że nikt nie powinien chcieć być tam dotykany.*

George powoli położył tacę na podłodze. Opadł na krzesło, składając ręce na jego oparcie. Był tak wielki, że zakrył całe krzesło sobą, jego ciało zwisało po obu stronach.

– *Mario, twoja niania miała rację* – westchnął. – *Albo przynajmniej w połowie rację. To może być wstrętne. Czy to się staje wstrętne czy nie, zależy od tego, jak człowiek podchodzi do tych spraw. Weź mnie na przykład. Martwiłem się tobą, martwiłem się, że jesteś tak zgnębiona i zalamana, że nawet nie możesz zasnąć. Straciłaś wiele snu, byłaś zastraszona, musisz to przynąć.*

– *Zgoda, nie miała racji* – potwierdziłam stanowczo. – *To było przyjemne. Tak przyjemne, że zaraz zasnąłem, prawda?*

Zmartwiłem znikło z jego twarzy jakby je nagle starła czarodziejska różdżka.

– *No widzisz? Kiedy się to robi w sposób miły, to się staje przyjemne. I tak właśnie chciałem to zrobić, miło i lekko, aby cię odprężyć i przynieść ci ulgę.*

– *Czy to jest właśnie środek na sen?*

Głowa zatrzęsła się mu od śmiechu. Ale po chwili spojrzał na mnie z zakłopotaniem.

– *Niezupełnie... To jest taka... taka piękna*